Nr. 31. Warszawa, dnia 19 (31) Lipca 1897 r. Rok XVII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 60, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

PRUSSICA.

Sejm pruski już na powitanie przed bieżącym okresem prawodawczym otrzymał od rządu projekt prawa uzupełniającego, czyli t. zw. nowelę do dawniejszych, z r. 1851, z epoki reakcyi, przepisów o stowarzyszeniach i zgromadzeniach publicznych; obiecywano w niej znaczne dla wolności fawory. Stronnictwa, stojące na straży interesów ogólnie społecznych, nie kastowych, oddawna też domagały się poprawy w stosunkach nieodpowiadających już ani ścisłemu stanowi konstytucyjności, ani wymaganiom umysłowości społeczno-politycznej, która od pół wieku znacznie się rozwinęła, w szerz i w głąb' rozrosła. Po długich namysłach, ruchach i odruchach, zapędach i odwrotach, nareszcie minister spraw wewnętrznych nowej, najnowszej ery, p. von der Recke, przedstawił projekt upragnionej przez wszystkich zmiany w reakcyjnych porządkach. Zmiana w tym projekcie polegała głównie na dozwoleniu łączenia się stowarzyszeń miejscowych w większe związki — i to było istotne polepszenie. Drugie uwzględnienie potrzeb wieku stwierdzić się dało w dopuszczeniu kobiet do zgromadzeń publicznych.

Ale nad tymi *plusami* projektu przewagę ogromną, niweczącą całą ich doniosłość, miało rozporządzenie wręcz już ujemne, dozwalające policyi rozwiązywać nietylko zgromadzenia chwilowe, ale i stałe stowarzyszenia, gdyby się to dla porządku potrzebnem okazało. Przez jedno takie rozporządzenie minister spraw wewnętrznych odbierał wszystko, co dał był poprzednio, i pogłębił jeszcze wsteczny charakter przepisów z r. 1851. Dotychczas policya nie miała prawa rozwiązywać; mogła tylko wstrzymywać działalność i sprawę wytaczać przed sąd, który dopiero rozwiązanie orzekał. Projekt p. Reckego czynił z niej jakby pierwszą działającą instancyę, po której dopiero sąd występuje jako druga, przy wielkiem jeszcze utrudnieniu apelacyi. Rzecz prosta, że projekt taki stronnictwa, czuwające nad interesami całego społeczeństwa, odrazu skazały na odrzucenie, a chcąc uratować z projektu to, co w nim jedynie dobrego było, przeniosły sprawę z sejmu pruskiego do sejmu niemieckiego i tam zażądały uchwalenia zasady całe Niemcy obowiązującej, iż na przyszłość wolno będzie pojedynczym stowarzyszeniom miejscowym wiązać się w większe, ogólniejsze całości.

Sejm niemiecki w maju żywo rozprawiał nad tym projektem z inicyatywy parlamentarnej (Rückerta) wyszłym, kiedy komisya sejmu pruskiego przesiewała przez swój przetak plony prawodawczej mądrości p. von der Reckego. Interes w uchwaleniu był zbyt powszechnym, zbyt silnie zacierał różnice między stronnictwami, odpowiadając wspólnie odczuwanej potrzebie, ażeby zaprojektowana zmiana nie miała się stać prawem. Propozycyę Rückerta uchwalono w obecności p. Boetttichera, który, jak się teraz okazuje, dymisyę dostał za złe, niedość sprężyste i żarliwe zachowanie się w sejmie w charakterze obrońcy rządu i jego interesów. Rada związkowa złoży uchwałę *ad acta*, ale samego faktu wydania jej nie zmaże. Izbie poselskiej sejmu pruskiego komisarze ułatwili niezmiernie zadanie: zostawili z projektu dwa tylko artykuły i na to jedynie, aby Izba odrzucić je mogła. Izba przecież je przyjęła i odesłała okaleczoną nowelę do Izby panów. Ta skorzystała ze sposobności i wstawiła w projekt zakaz zgromadzeń, wymierzony głównie przeciwko demokracyi socyalnej, ale dotkliwy i dla wszelkich innych stronnictw, które nie hołdują zachowawczości i interesom kast „przodujących w narodzie.“

Ponieważ prawo zgromadzania się i stowarzyszania jest jednem z praw konstytucyjnych Prusaka, przeto względy prawności nakazały uchwałę panów, zapadłą jeszcze w d. 30 czerwca r. b., poddać pod ponowne głosowanie po trzech tygodniach. Wtedy dopiero uchwała przyjęta wrócić miała do Izby poselskiej, aby ta ostatecznie o losie jej rozstrzygnęła. D. 22 b. m. zebrały się tedy obie Izby sejmowe. Panowie 111 głosami przeciwko 20 potwierdzili pierwsze swe orzeczenie i projekt rządowy, obcięty przez posłów, ale wzbogacony powyższym dodatkiem pańskim — znalazł się dnia 24 b. m. w Izbie poselskiej. Ta, przy obecności 414 odrzuciła go przewagą czterech tylko głosów (209 i 205). Tak słabą okazała się większość, pomimo to, że narodowo-liberalni naprawiając błąd swój z czerwca, tym razem głosowali już w zwartej kolumnie przeciwko owemu artykułowi, wstawionemu przez panów i odrzucili projekt w całości. Tym sposobem p. v. der Recke odprawił już swoje prawodawcze prymicye. Teraz opinia oczekuje od niego wznowienia bismarkowskiego prawa o niebezpiecznych dla państwa dążnościach demokracyi socyalistycznej. Cesarz Wilhelm poważnie myśli o sypaniu grobli.

Tydzień polityczny. Porta wysłała na Kretę Dżewada-baszę jako przyszłego gubernatora. Admirałowie przyjęli go tylko w vice-mundurach — co ma być oznaką łagodnej niechęci. Powstańcy słyszeć o Turku nie chcą i odgrażają się, że na nowo za broń chwycą. Pokój ma być już w 9-u pierwszych artykułach uchwalony. 4 mil. f. tur. kosztów wojennych i 400 tysięcy f. tur. wynagrodzenia za Epir. Wieść o ustępowaniu Turków z Tessalii okazała się bajką. W Stambule dla zamydlenia oczu przedsięwzięto środki ostrożności przeciwko patryotyzmowi tureckiemu, który na zwrot Tessalii pozwolić nie chce i burzy się jakoby tak niebezpiecznie, iż sam sułtan liczyć się z nim musi.

Cesarz Wilhelm 5 sierpnia wyjeżdża do Petersburga. Sejm pruski odroczony do jesieni. Cesarz

nakazał nowemu ministrowi marynarki, Tirpitzowi, ułożyć projekt żądań na budowę znacznej liczby wielkich okrętów.

P. Gołuchowski d. 25 b. m. przyjechał do Paryża dla poradzenia się lekarzy o zdrowie swej żony. Dotychczas wiadomo, że radził się p. Hanotaux; telegraf donosi, że w dwugodzinnej rozmowie roztrząsano kwestye: bałkańską i grecko-turecką. Wyprawiono p. Gołuchowskiemu wspaniałe śniadanie.

„Quarterly Review" projektuje Europie rozbiór Turcyi: Azya dla Rosyi i Anglii; Macedonia, Albania i Epir dla Austryi; Egipt i Syrya — komużby się dostać miały, jeśli nie Anglikom?

Rozchodziły się w tym tygodniu pogłoski o wojowniczych zamysłach Serbii. Miały dać do nich powód mowy w rozpuszczonej już na swobodę skupsztynie.

We Włoszech major Nerazzini zawarł dalszą tymczasową ugodę z Menelikiem, który do ostatecznych traktatów ma wstręt widoczny.

Powstanie na wyspach Filipińskich jeszcze trwa.

Mc Kinley wprowadził nową taryfę.

Japonia nie przestaje protestować przeciwko postanowionemu już, ale jeszcze niedokonanemu, wcieleniu wysp Hawajskich do Stanów Zjednoczonych.

Czytralczycy napadli na Anglików.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Naród dla Mickiewicza.

I.

Wszelkie objawy uczuć można rzucić na szalę „praktycznego rozumu" i wykazać ich użytkową nieważkość. Czy kochanek daje swej oblubienicy wiązankę kwiatów, czy konkurent kupuje narzeczonej pierścionek, czy naród wznosi galeryę sztuk pięknych lub buduje teatr, wszystko to z pewnego punktu widzenia może się wydać marnotrawstwem i zbytkiem. Na tem zaś stanowisku utylitarnem najchętniej stają kaznodzieje społeczni z umysłem ciasnym, którzy nie pojmują, nie wiedzą lub zapominają, że życie i szczęście ludzkie nie składa się jedynie z bochenków chleba, całej odzieży i nieprzemakalnych dachów, lecz że weń wchodzą niezliczone i najrozmaitsze pierwiastki, bez których ani to życie, ani to szczęście nie może być pełnem. Kto pragnąłby z tych pierwiastków usunąć „niepotrzebne," chociaż pożądane, ten podobny jest do fizyologa, któryby radził wycinać ludziom śledzionę, gdyż dotąd nauka nie wykazała jej przeznaczenia i niezbędności w organizmie.

Pomimo że od czasu istnienia cywilizacyi ludzkość nczuwa ciągle głęboką potrzebę moralną wyrażania swej czci jednostkom, otoczonym jej chwałą, zapomocą pomników, dotychczas w przekonaniu fanatyzmu „praktyczności" są one zbytkiem, na który nie powinny sobie pozwalać zwłaszcza społeczeństwa ubogie. To gospodarowanie w cudzych kieszeniach i sercach, to tamowanie swobodnego wylewu uczuć i zwracanie ich w łożyska, w które one wpłynąć nie chcą, jest tak śmiesznem, że doprawdy dziwić się można ludziom poważnym, zajętym taką dziecinną robotą. Że komuś podoba się inny cel dobry, niż ogółowi, to dla tego ostatniego nie jest wcale obowiązkiem gwałcić własne pragnienia i dogadzać cudzym. Zresztą pomniki, stawiane wielkim i zasłużonym rodakom, nie są takim „zbytkiem" i wielkopańską fantazyą, jak się się wydaje obrońcom „praktyczności." Są one zawsze najwymowniejszemi kartami księgi dziejów narodowych, najbardziej widomymi wzorami dla następnych pokoleń, a w pewnych wypadkach tak głęboko wnikają swym wpływem w stosunki praktyczne, życiowe, że dosięgają tam, dokąd nie dosięgnie żaden swojski browar, żaden najdoskonalszy szpital lub kasa pożyczkowa.

Kilkakrotnie już uświadamialiśmy czytelnikom naszym tę szczególną cześć, jaka w ich sercach żyje niewątpliwie dla Mickiewicza. Jest on słońcem naszej literatury, źródłem życiodawczego światła i ciepła. Oddawna też budziło się w jego rodakach pragnienie nadania tej czci widomego wyrazu. Najwcześniej spełniło się ono w Poznańskiem, chociaż najmocniej drgało w Królestwie Polskiem. Gdy przez 24 laty Galicya postanowiła drogą publicznych składek wznieść pomnik Mickiewiczowi w Krakowie, pospieszyło ono jej z pomocą, która dopiero umożliwiła urzeczywistnienie tej myśli. W ogólnej sumie 159,776 złr., zgromadzonych ostatecznie (1896 r.), prawie ²/₃ wpłynęło z Królestwa. Najgorliwszym patronem tego przedsięwzięcia i głównym kwestarzem śród nas był szanowny redaktor *Tygodnika Ilustrowanego*, Ludwik Jenike. Wkrótce utworzony został komitet, złożony z członków tutejszych i galicyjskich, któremu dano do rozporządzenia kapitał, wystarczający na wzniesienie pomnika bardzo okazałego.

Nie będziemy tu przypominali smutnej historyi swarów, intryg, chybionych konkursów, przekształcania się i topnienia komitetu; zaznaczymy tylko gorszący i nadzwyczaj bolesny koniec tej świętej sprawy, zamienionej na ordynarną awanturę i karygodne lekceważenie: prawie cały fundusz zmarnowano, a Mickiewicz dotychczas pomnika w Krakowie nie ma. Nie potrzeba uciekać się do żadnych posądzeń i pesymistycznych domniemań, bo ostatni (z r. 1896) rachunek komitetu aż nadto szczerze opowiada szczegóły tej bezecnej gospodarki. Na same konkursy wydano 18,950 złr. Z tych konkursów wybrano p. Rygiera, któremu w krótkim czasie wypłacono 86.000 złr. I co on za to dał? A no dał pomnik, od którego, gdy go ustawiono na placu w Krakowie, wszystkim widzom włosy dębem stanęły na głowie: na ciężkim postumencie stanął jakiś ciężki potwór z wieńcem w rodzaju koła ze sterczącemi szprychami. Jakkolwiek popiersie Mickiewicza, *zatwierdzone przez komitet* (odbite w *Tygodniku Ilustr.* z r. 1890 nr. 7), a wyobrażające raczej głowę idyoty z uwydatnieniem cech zbrodniczości, nie pozwalało spodziewać się od p. Rygiera nawet znośnej podobizny poety, jednakże to, co zrobił, przeszło najgorsze obawy. Figura była poprostu niemożliwem straszydłem - postanowiono ją zdjąć, schować i zobowiązać artystę do wykonania innej. Taką samą okropnością była druga, przedstawiająca „Naukę." P. Rygier przyrzekł przerobić obie i dotąd je przerabia, nie wiadomo z jakim skutkiem

---

12)

W. DOROSZEWICZ.

Na Sachalin.

XXVI.

Taniec dyabła.

Purnak, książę naczelny piekła, groźne bóstwo z trzema oczyma. Dwoma widzi on sprawy ludzi, trzeciem czyta ich myśli.

Żona jego, zła Irandeti, przybiera postać to najpiękniejszej z kobiet, to jako okularnik podpełza do śpiących i zabija swem ukąszeniem.

Kiedy Trimutri stwarza kobietę, do kołyski zbliża się Irandeti, małżonka Purnaka, władczyni żmij, i Sriakanta, żona Side, pani kwiatów. Jej oddech jest aromatem kwiatów, jej droga zawsze usłana kwiatami, w jej włosach kwitnie lotos.

Boginie toczą spór z sobą o posiadanie duszy nowonarodzonego.

Wtedy zjawia się Seraswati, kobieta z mieczem, żona Wisznu, która zna całą przyszłość, i rozstrzyga spór.

Szczęśliwy Indus, gdy duszą żony jego włada piękna Sriakanta, pani kwiatów.

Jak święty kwiatek crikinetu, delikatna będzie towarzyszka jego życia, piękna i czysta, jak lotos; zapachem jaśminu będzie przesycony jej oddech.

Lecz bójcie się kobiety, której dusza oddana jest złej Irandeti.

Bójcie się jej spojrzenia, pełnego czaru, jej kibici gibkiej jak żmija.

W nocy pod postacią żmii pełzać ona będzie od lasu i w cieniu olbrzymich paproci modlić się wraz z towarzyszkami do dyabła.

Czołgać będzie po lasach, wciskać do mieszkań i śpiących kąsać śmiertelnie.

W jedną straszną noc ukąsiła swego męża, ażeby złożyć ludzką ofiarę złej i nienasyconej Irandeti.

Tylko po napiciu się krwi ludzkiej Irandeti przybiera postać najpiękniejszej kobiety i odurzona krwią wypitą obdarza dyabła takiemi pieszczotami, że mimozy wstydliwie stulają swoje listki.

Płodem ich związku małżeńskiego, pierwszym i ostatnim, jest Afrid, kat piekła, wykonawca rozkazów Purnaka, niewyczerpany w pomysłach męczarni, niegodziwych podstępów, którymi dręczy ludzi.

Przybiera on postać bramina i uczy ludzi zabijać i kraść; pod postacią trąby powietrznej unosi się nad morzem i rozbija katamarany, zamienia się w cholerę i dżumę, tysiące ofiar swoich wyprawia do piekła.

Purnak — to nieprzejednany wróg Buddhy. Walczy on z niebiosami o władzę i honory. Jest ambitnym i wymaga, żeby mu kłaniano się jak bogu.

Ażeby zjednać Purnaka na jego cześć tańczą o północy taniec dyabelski.

Słabi, tchórzliwi ludzie stają się czcicielami dyabła, jego tancerzami, a do ich pomocy uciekają się ci, którzy chcą zjednać sobie dyabła i wybawić się z jego zamachów.

— Sir ma jakieś strapienie i chce zjednać Purnaka? — spytał mię kapłan buddhystów.

— O tak, ciężkie strapienie — westchnąłem.

— W takim razie proszę pójść do przeklętych czcicieli dyabła. Oni rozweselą go swoim tańcem, jeżeli pan wierzy w ten okropny i wstrętny przesąd.

Noc.

U góry zdaje się, że gwiazdy zawisły na palmach; jakby jakieś kwiaty fanta-

i do jakiego czasu. Te dwie figury schowane, nie niewarte, są *jedynym* nabytkiem pomnikowym, sprawionym za cenę *132,811 złr.* ogólnych wydatków. Nieprawdopodobne, a prawdziwe! Jakim sposobem komitet mógł roztrwonić tyle pieniędzy, nie otrzymawszy w zamian nic; jakim sposobem on mógł pozwolić na tak długą przewlokę; jakim sposobem mógł dopuścić do wykonania, odlania i sprowadzenia potwora, zwłaszcza że w rachunku podał tytułem kosztów podróży p. Rygiera, „jurorów" i swych członków, oraz transportu modeli (1,050 *plus* 4,508 razem 5,558 złr.), tego bez oskarżenia go o nieznajomość rzeczy, niedbalstwo i niedołęztwo zrozumieć niepodobna. Obecnie z całej sumy 159,776 złr. posiada tylko 26,965. Za tę resztkę ma być pomnik odlany, sprowadzony i ustawiony.

Przy rozważaniu tych szczegółów z pewnością nasuwa się myśl obciążenia komitetu moralną i materyalną odpowiedzialnością za zatratę publicznego grosza i całego przedsięwzięcia. Żaden inny sąd—prócz opinii publicznej—nad winnymi się nie odbędzie, ale i ten wyrok prawie jednogłośny powinienby zaniepokoić ich sumienie. I nietylko tych, którzy dotąd siedzą na maszcie zatopionego okrętu, ale i tych, którzy z niego przed katastrofą przezornie uciekli. Kilku członków usunęło się z komitetu: ale czy im wypadało usuwać się wtedy, kiedy groziło niebezpieczeństwo? Czy nie byli oni obowiązani ratować statek do ostatniej chwili, zwłaszcza gdy byli jego sternikami? Pytanie to mamy prawo zwrócić przedewszystkiem do H. Sienkiewicza, który posiadając w komitecie największe znaczenie i wpływ, mógł był na innych oddziałać i sprawę całą przynajmniej do pewnego stopnia wyprostować. On wolał umyć od niej ręce i pozostawić ją na pastwę niedołęztwa lub złej woli. Mówimy: i złej woli, bo wiadomo dobrze, jakie uczucia żywią Stańczycy krakowscy do wszelkich przedsięwzięć narodowych wogóle, a do pomnika Mickiewicza w szczególności.

PSYCHOLOGIA KOBIETY.

Laura Marholm: *Zur Psychologie der Frau*. Część pierwsza. Berlin, 1897

Dla ilustracyi swych poglądów autorka rysuje nam szereg sylwetek kobiecych. Istoty te należą do typu poszukiwaczek, które nie chcąc dać się prowadzić na pasku przez mężczyznę, chciały same szukać nowych torów, lecz w pogoni za nowymi celami poległy marnie na drodze życiowej. W szeregu tych przedwczesnych jaskółek widzimy np. Hilmę Strandberg, utalentowaną autorkę, która spędziwszy kilka lat na samotnej wyspie północnej wśród rybaków, wydała prześliczny opis ich bytu i rwąc się do wysokich polotów, rzuciła się w wir życia w towarzystwie prostaka i kopciuszka losu. Wyszedłszy za mąż za tego mazgaja, którego opisała w jednej ze swoich powieści, udała się wraz z nim do Ameryki, gdzie walka o byt złamała jej energię i wyszczerbiła talent. Dalej na podstawie głośnej powieści Gabryeli Reuter autorka wtajemnicza nas w katusze starej panny. Niegdyś istniały katusze dla istot tego rodzaju, dziś nie kryją się one bynajmniej w celach, lecz zalewają literaturę, hetmanią ruchowi kobiecemu, wywierają zgubny wpływ na niewiasty, gdyż swój świat wewnętrzny, oschłą, skostniałą i wykoszlawioną rozczarowaniem duszę obierają jako probierz dla sądzenia, raczej osądzania świata otaczającego. Prawdziwie tragiczne, wstrząsające wrażenie sprawiają wizerunki pani Besant, głośnej dziś kapłanki spirytyzmu i hrabiny Schimmelman. Gdy w r. 1894 osobę tę osadzono w domu dla obłąkanych, wydała broszurkę, w której roztaczając przed czytelnikiem obraz swej działalności, poddała pod ekspertyzę publiczności swój stan umysłowy. Nadworna dama cesarzowej Augusty, hrabina Schimmelman, dziwnym zbiegiem okoliczności została sprowadzoną na wyspę Rugię, gdzie wzruszona nędzą rybaków, zaopiekowała się ich losem. Będąc w kwiecie wieku, piękna hrabina, która do swego rydwanu tryumfalnego zaprzęgła dziesiątki młodzieńców, postawiła sobie za cel umoralnić rybaków i uwolnić ich od nałogu pijaństwa. Dzieląc się z nimi swym majątkiem, stworzyła przytułek, gdzie wygłaszała odczyty, urządzała gry towarzyskie itp. Miłością i szlachetnem sercem dopięła wreszcie celu. W r. 1891—2, gdy Berlin ogarnęła panika z powodu rozruchów ulicznego proletaryatu, hrabina wpada pomiędzy rozjuszony tłum i swem ewangelicznem kazaniem porywa tłuszczę. Ogłoszono ją za niepoczytalną. Wypuszczona dzięki swej broszurce na wolność, zastaje ruinę swej pracy. Wdanie się rządu i towarzystw dobroczynnych, niemających najmniejszego pojęcia o rzeczy, zniweczyło rezultaty jej działalności. Hr. Schimmelman sprzedała resztki swego majątku i kupiła jacht dla rozdawania Biblii i prowiantu rybakom, żeglującym pomiędzy Anglią a Danią.

Jeszcze bardziej wstrząsa kolejami życia swego błędny rycerz prawdy — Anna Besant. We wszystkich jej mowach, które przez kilkanaście lat obiegały się o uszy i serca milionów słuchaczy w tysiącach artykułów, pisanych na kolanie w przerwach nieustannej agitacyi, czuć jej przejęcie się myślą, iż autorka zerwała owoc z drzewa poznania i chce się nim podzielić z ludźmi. Gdy w młodości, pochodząc z rodziny arystokratycznej, wyszła za mąż za dostojnika kościelnego, oddała się pod wpływem męża medytacyom religijnym i pogrążyła się w scholastyce teologicznej. Pozbawiały ją snu kwestye dobroci i wszechmiłości Boga i sprzeczności w traktatach ojców Kościoła. Już wtedy zaczęła pisywać, zdradzając w utworach swych zdolności, które, zdaniem p. Marholm, są cechą inteligencyi kobiecej: umiejętność chwytania w lot istoty rzeczy i odtwarzania bez wysiłku treści uchwyconej. Rozchodząc się z mężem w wielu zagadnieniach teologicznych, opuściła jego dom, gdy chciano ją zmusić do uległości ojcu rodziny. Przypadkowo usłyszawszy raz przemawiającego na zebraniu ateistę Bradlougha, wnet stała się gorliwą wyznawczynią jego idei i poszła za nim. Zawsze i wszędzie przez całe życie szukała czegoś wielkiego, czemu mogłaby się oddać całą duszą. Tłum i kobiety — mówi p. Marholm — ulegają wpływowi istot, imponujących swą siłą. Bradlough, atleta o zdumiewającej wytrwałości, pociągał za sobą tłumy — jakżeż mogła się oprzeć jego urokowi Anna Besant? Na skinienie jego rzuciła się w wir agitacyi ateistycznej i neomaltuzyańskiej. Przez trzynaście lat walczyła, nabrawszy ogromnej wprawy w boksowaniu krasomówczem, celując we wszystkich efektach polemicznych, żyjąc w ciągłej gorączce, objeżdżając wzdłuż i wszerz Anglię, tocząc liczne procesy, ulegając napaściom i niebezpieczeństwom.

---

ntyczne zakwitły na drzewach i świecą blaskiem brylantowym.

Czciciele dyabła zgromadzili się pod palmami i stworzyli koło zaczarowane.

Dwu muzykantów dyabła, chudych, suchych jak szkielety, jeden nagi w czerwonym turbanie, drugi cały w bieli, uderzyli w tam-tamy i wybeczeli zaklęcia.

Zgasły ognie.

Purnak jest śród nas.

Gdzieś w pobliżu śród ciemności przyczaił się okularnik — zła Irandeti.

Afrid chodzi w tłumie, nasuwa myśli o zabójstwie.

Tam-tamy grzmią coraz głośniej, czciciele dyabła wykrzykują tajemnicze słowa zaklęć.

I oto gdzieś śród palm jakby zabrzęczały łańcuchy. To tam, tu...

W ciemności błysnęły pochodnie.

Dyabli zbliżają się.

Krzyki i jęki czcicieli zlały się w dziką melodyę. Do środka koła, machając pochodniami, wpadł „dyabeł."

Strój pstry, fantastyczny, podobny do ubioru radży, cały zawieszany brzękadłami.

Na rękach i nogach brzęczące bransolety. Ogromna korona, ubrana bębenkami. Każde jego poruszenie wydaje zgiełk.

Jest to jeden z książąt piekła.

Indusi wyobrażają sobie dyabła białym.

Na policzkach jego kwitnie silny rumieniec.

Duże czerwone usta rozchyliły się we wstrętnym uśmiechu.

Książę piekła jednym skokiem wpadł na środek koła, wysoko wzniósł pochodnie, przykląkł na jedno kolano, jakby się przygotowując do obrony i drżąc na całem ciele, zaczął nieufnie spoglądać na wszystkie strony.

Jednym skokiem zbliżył się tuż do nas. Tak przebiegał ogromnymi skokami po całem kole, przyglądając się twarzom. Z zadowoleniem dostrzegał na czołach czerwone piętna, jak języki płomieni — pieczęć dyabła.

Przy świetle pochodni można było dojrzeć pomalowane farbami twarze czcicieli, oraz dwu doboszów, którzy uderzali w swoje tam-tamy, rękami i łokciami, istotnie z dyabelską szybkością.

Znalazłszy się w kole czcicieli, „dyabeł" uczynił kilka wesołych skoków i potoczył się świecąc pochodniami.

W tem zapanowała ciemność i cisza.

Dyabeł jakby w ziemię zapadł.

Muzyka umilkła.

Ale oto znowu dały się słyszeć wycia, z pod nóg muzykantów wypełzły dwa wstrętne dziwotwory: w skórach futrzanych, z nogami i rękami zakutemi, z zębami ogromnymi.

Puściły się w tany przy dźwiękach tam-tama.

— Tańczcie swój taniec dyabelski, bierzcie swe ofiary, bierzcie dusze grzeszników, które do was należą, a oszczędzajcie nas! Oszczędzajcie, wy, czciciele dyabła!

Dziwotwory to podskakiwały na jednem miejscu, to czołgały się ku nogom czcicieli, piszczały, wyły, szczękały zębami.

Chwyciły pochodnie ustami, lizały ogień, wydawały jęki.

Czciciele sypali na ich pochodnie jakiś proszek biały, a wtedy dziwotwory zupełnie znikały w kłębach płomieni.

— Tańczcie, tańczcie, wy, skazani na wieczne męki — krzyczeli czciciele.

Dziwotwory paliły sobie ręce, piszczały, skakały, dzwoniąc łańcuchami.

Schwyciły w usta po dwie pochodnie i zawirowały, jak dwa słupy ogniste. Następnie rzuciły pochodnie, wpadły w tłum i znikły w ciemnościach.

Rzucone pochodnie polano olejem kokosowym i plac objęło drżące, krwawe światło.

Zwycięzki swój pochód znaczyła nieskończonem pasmem pamfletów i broszur agitacyjnych. W r. 1883 wreszcie pierwszego ateistę Bradlougha przyjęto do parlamentu angielskiego. Lecz stanąwszy na szczycie swych marzeń, osiągnąwszy cel, który przez tyle lat przyświecał jej jako gwiazda przewodnia, Bessant uczuła... nudy, a gdy na pewnem zebraniu w szermierce polemicznej socyalista Hyndham pobił na głowę Bradlougha, bez namysłu przeszła do obozu socyalistów i oddała się gorliwie reformom społecznym, mającym polepszyć los kobiet i proletaryatu. Bo według p. Marholm najsilniej pochłaniają uwagę kobiet zagadnienia religijne i płciowo macierzyńskie. Cała zaś działalność Anny Besant świadczy najwyraźniej — woła autorka — iż trzy sprężyny kierują niewiastą: ciekawość, litość i niestałość. Gdy po kilku latach hałaśliwej agitacyi zetknęła się raz ze sławetną panią Blawatską i z ust jej usłyszała opowieść o jej prześladowaniach, wyparła się wszystkich idei, o które walczyła przez całe swe życie i stanęła na czele ruchu spirytystycznego w Anglii. Bradlough wkrótce umarł, zwątpiwszy o rozsądku współbojowniczki, towarzyszki, przyjaciółki i... może kochanki.

Anna Besant, zdaniem autorki, może służyć jako wybitny przykład uosobienia trapiącej kobietę choroby: niemocy ducha. Przez całe życie usiłowała zaspokoić głód swej duszy. Mężczyzna traci stopniowo swą władzę nad kobietą, gdyż sam stoi na rozdrożu, nie wiedząc, w którą stronę skierować swe kroki. Besant na starość zaciąga się na służbę ideową do pani Blawatskiej, bo według pani Marholm, kobieta odczuwa dziś więcej brak duszy siostrzanej, niż bratniej. Wyemancypowawszy się z pod wpływów męzkich, wskutek braku oryginalności nie jest w stanie odkryć dla siebie nowych dróg, lecz kroczy ścieżką wydeptaną przez mężczyznę. Składa hołdy interesowi i ugania się za karyerą. W ten sposób traci ona ustawicznie swą kobiecość, podczas gdy mężczyzna niewieścieje coraz więcej.

Emancypacya, spowodowana kataklizmami ekonomicznymi, jest objawem upadku rasy. Kobieta, chwyciwszy się procederu, hołduje celibatowi lub przestaje rodzić. W Londynie istnieją całe okręgi, zamieszkane przez te *spinsters*, mające swe kuchnie, kluby i domy. Setki tysięcy wyrzekają się treści życia dla kawałka chleba. Z tą emancypacyą grasuje ręka w rękę w niższych warstwach prostytucya. Oba zjawiska są zwątpieniem kobiety o swej misyi macierzyńskiej. Istnieją dwa rodzaje niewiast: z kapitałem zakładowym i bez niego. Tylko z pierwszej grupy werbują się apostołki ruchu emancypacyjnego, będącego odgłosem przestarzałej formułki o prawach człowieka. Kwestya kobieca jest przeto klasową, gdyż tylko kobiety t. zw. wyższych warstw żądają dla siebie miejsca w zawodach kupieckim, naukowym i technicznym. Wtargnięcie nowych zastępów do tych dziedzin oznacza obniżenie honoraryum, co jest na rękę oczywiście wielkiemu kapitałowi. W ten sposób emancypacya i prostytucya rujnują mężczyznę. Ruch emancypacyjny potężnieje z każdym rokiem, a nie należy zapominać, iż to, co zachodzi na powierzchni życia społecznego, jest odnogą bardziej utajonego prądu. Zapanowała pewna niechęć w stosunku kobiety do mężczyzny. Kobieta waha się pomiędzy swym silnym niegdyś pietyzmem do mocarza świata a pogardą dla skarłowaciałego geszefciarza, reprezentującego dziś ten gatunek. Duszno jej w atmosferze hazardu i zabiegów pieniężnych. Pada ona, emancypuje się lub wyradza, naśladując we wszystkiem mężczyznę. Nie może zaaklimatyzować się w nowej swej dziedzinie. Wszystkimi nerwami jest związana ze sferą macierzyńską, z rajem, u którego wrót stoi anioł z wyciągniętym mieczem stosunków ekonomicznych. Spragniona tuła się po świecie, nie znajdując pokarmu dla swego ducha. Rozwój historyczny zacieśnił jej zakres pracy produkcyjnej. Przestała ona być bawidełkiem, lalką, lecz i matką. Zamiast pracy bezpłatnej, naturalnej w gospodarstwie domowem, żąda od niej obecnie mężczyzna płatnej, rynkowej. A tymczasem prawdziwie produkcyjną pracę kobiety upatruje p. Marholm tylko w... dziecku. Kobieta, jeśli rodzi, czyni to w wieku, gdy dawno się z niej ulotni czar młodości, ciepło i aromat niewinnego pączka. Zapał i wiara dawno przestały drgać w jej piersi, najpiękniejsze bowiem swe lata zmarnowała na zarobek i karyerę. Stara duchem, sterana życiem, rodzi chuderlawe dziecko.

Kobiety, którym nawet nie jest sądzonem zawinąć do portu małżeńskiego, powinny, podług pani Marholm, zająć się zorganizowaniem opieki nad słabymi i wydziedziczonymi członkami społeczeństwa. Autorka kreśli obraz tego rodzaju organizacyi międzynarodowej, do której powinny mieć przystęp na wszystkich głównych i podrzędnych posterunkach tylko kobiety.

H. F.

INSTYTUT ROBOTNICZY W SZTOKHOLMIE.

Lat dwadzieścia minęło od chwili, kiedy lekarz szwedzki, dr. Nyström wystąpił z projektem wyższego zakładu naukowego dla ludu. Projekt ten obejmował: 1) wykłady naukowe w porządku systematycznym ze szczególnem uwzględnieniem wiedzy przyrodniczej i historycznej; 2) założenie biblioteki ludowej i czytelni, oraz 3) urządzanie „uszlachetniających" rozrywek — koncertów, wieczorów deklamacyjnych, przedstawień dramatycznych. Aczkolwiek w zasadzie miał instytut ten uprzystępniać naukę wszystkim bez wyjątku klasom społecznym, to jednak główną uwagę miano zwrócić na kształcenie klasy pracującej. Program wykładów był następujący: 1) matematyka, 2) astronomia i meteorologia, 3) fizyka i chemia, 4) anatomia i fizyologia w połączeniu z nauką o chorobach oraz hygieną, 5) nauka zachowania zdrowia, 6) historya naturalna (geologia, mineralogia, botanika i zoologia), 7) geografia i etnografia, 8) dzieje kultury szwedzkiej, 9) dzieje kultury powszechnej, 10) nauka o państwie i społeczeństwie i ekonomia polityczna. Nie wszystkie wyliczone tutaj przedmioty miały być wykładane jednocześnie, lecz co lat kilka; większa część ich — przez rok jeden; wyjątek stanowiły tylko geografia, etnografia i kultura szwedzka (kurs dwuletni), oraz dzieje cywilizacyi (kurs trzy albo czteroletni). Wiadomości, ofiarowane przez nauczycieli uczniom Instytutu, miały być wolne od wszelkich politycznych i religijnych agitacyj, a przytem tak popularne, że każdy, „zdrowym rozsądkiem" obdarzony i świadectwo z ukończenia szkoły ludowej posiadający słuchacz mógłby z korzyścią je przyjmować. Nauka miała być bezpłatną.

Pięć lat walczył Nyström z opinią, zanim potrafił sobie zjednać poparcie ogółu. Z początku wobec nieznacznego zasiłku nie można było przeprowadzić zasady zupełnej bezpłatności i pobierano za każdorazowe wejście 10 oerów (3½ kop.). W latach następnych skutkiem pomocy dwu ministrów otrzymał Nyström zapomogi 5,000 koron od rządu i tyleż od zarządu

---

Muzykanci zaczęli grać jeszcze zapalczywiej.

Od hałasu, zgiełku, krzyku, wycia i woni oleju kokosowego zdawało się, że głowa pęknie.

— Ukaż się, Afridzie, ukaż się, siewco złego — zaklinali czciciele dyabła; — ukaż się, ojcze kradzieży i zabójstwa, pijący krew i żywiący się trupami zadżumionych! Ukaż się, ażeby oświadczyć wobec ojca twego, Purnaka, że wszystkie dusze grzeszników wzięte są do piekła. Ukaż się!

Przy krwawym blasku pochodni ukazał się białolicy Afrid, drugi po ojcu książę piekła.

Drżąc na całem ciele, dzwoniąc, podniósł pochodnię, stanął, przybrał postawę tryumfującą i wydał okrzyk radośny.

Z ciemności, z po za palm dała się słyszeć odpowiedź — wycie.

W całej zarośli rozległ się brzęk łańcuchów. Wycie z różnych stron dochodziło.

„Afrid" chwytał pochodnie ogniem w usta i oddychał płomieniem.

Biegł kołem, machając pochodniami, jakby się toczył na dwu ogromnych kołach ognistych.

Nagle zamieniał się w szrubę ognistą, kręcił się z taką szybkością, jak wicher płomienny.

Padł na kolana i zaśpiewał pieśń piekielną. Jej słowa tajemniczo, przekazywane ustnie, są zrozumiałe tylko dla dyabłów.

Jeszcze raz błysnął wichrem ognistym i zniknął.

Gdy znowu zapalono pochodnie, na środku koła leżał święty kwiatek lotosu.

Skończyła się władza złego ducha. Wziął on swoje ofiary i zniknął.

— Słyszy sir, jak odpełza okularnik? — zapytał jeden z kapłanów dyabła, schwyciwszy mię za rękę. Pochylił się i nadstawił ucha. — To Irandeti wraca do piekła.

* * *

To był skrócony taniec dyabła.

Przez uprzejmość dla cudzoziemca Afrid nie dał się długo prosić. W ciągu godziny odtańczył taniec wichru ognistego i odśpiewał swą piosnkę dyabelską, w której nic niema podobnego do tak pięknej pieśni Mefistofelesa.

Zwykle taniec dyabła trwa 36 godzin.

Brahmie człowiek powinien służyć 24 godziny.

Dyabeł zaś przez swą ambicyę wymaga dłuższej, 36-godzinnej służby. I dopiero po upływie półtory doby zjawia się Afrid ze swą pieśnią tryumfu.

Czczenie dyabła jest wielkim grzechem dla Buddhysty. Ludzie, którzy oddali siebie na służbę dyabłu, są odtrąceni, paryasi. Nie mogą oni niczem się zajmować.

Specyalnością ich jest służba nocna dyabłu za dobrą płacę, którą otrzymują od ludzi przesądnych za przebłaganie gniewu władcy piekła.

Kapłani i tancerze dyabła mieszkają na samym krańcu miasta.

Ten nocny taniec dyabelski surowo jest wzbroniony przez prawo.

Ale policya wszędzie jest policyą.

Dziesięć rupij napełniły serce sierżanta dziwną pobłażliwością dla ciekawości i przesądów ludzkich.

Z uprzejmością bezgraniczną pozwolił on mi za 10 rupij w nocy napełnić odgłosem bębną, zgiełkiem i wrzawą cały rewir.

(C. d. n.).

miejskiego. Po kilku latach, kiedy za przykładem stolicy powstawać zaczęły instytucye podobne na prowincyi, podniósł parlament ową sumę do 20,000 koron, z zastrzeżeniem, że każdy instytut może korzystać z zasiłku najwyżej do cyfry 5,000 koron. Dobroczynność prywatna, zapisy, dary — pozwoliły na utworzenie kapitału żelaznego, który znowu umożliwił wystawienie budynku własnego. Audytoryum, zajmujące środkowy punkt gmachu, może pomieścić 500 osób. Obok znajduje się laboratoryum chemiczne, pracownia fizyczna i szatnia. Należy się wzmianka specyalna tej ostatniej, jest ona bowiem wyposażona we wszystkie przybory toaletowe i robotnik, powracając z fabryki, nie ma potrzeby zachodzić do domu, aby się przebrać w odświętne szaty. Do Instytutu może wejść w bluzie robotniczej. Obok również znajdują się dwie izby restauracyjne, gdzie za tanie pieniądze pożywić się można: napoje wyskokowe są wykluczone z jadłospisu.

Na górnem piętrze znajduje się biblioteka, licząca obecnie 2,100 tytułów; stali słuchacze wykładów mogą bezpłatnie z niej korzystać; publiczność płaci 25 oerów miesięcznie (9 kop). Ilość czytelników wzrasta stale i w r. 1895/6 wynosiła 355. Tuż przy bibliotece mieści się czytelnia, gdzie prócz podręczników, słowników, encyklopedyj, map geograficznych i statystycznych, otrzymać można czasopisma i dzienniki za opłatą 50 oerów miesięcznie (17½ kop.). Czytelnia może pomieścić 30 osób; w ciągu jednego roku korzystało z niej 2,600 ludzi.

Co niedziela o godz. 7½ wieczorem odbywa się w głównej sali koncert ludowy (wejście 25 oerów). Grają tu niekiedy nawet symfonie i oratorya. Corocznie daje zarząd jeden koncert bezpłatny dla dzieci uczęszczających do szkół ludowych. W ostatnim roku koncert taki liczył 14,400 słuchaczów.

Wykłady odbywają się w dni powszednie od 8 do 10 wieczorem, a w niedzielę od 9—10 rano i od 5—6 po południu; nie są jednakowo licznie uczęszczane, na niektórych bywa 50, na innych po 150, na innych wreszcie 200—300 słuchaczów. W ostatnim roku sprawozdawczym ogólna cyfra korzystających z wykładów, czytelników w bibliotece i czytelni, wreszcie „melomanów," wynosiła 47,000 ludzi.

Od czasu powstania Instytutu robotniczego w Sztokholmie powołano do życia w Szwecyi 36 zakładów podobnych. Obecnie Norwegia naśladować zaczęła przykład pobratymczy. Wpływ, jaki wywierają te instytucye na rozwój umysłowy i moralny pośród słuchaczów, jest według robotników samych nader dodatni. Jest to zresztą spostrzeżenie wspólne dla całego ruchu współczesnego, noszącego nazwę „uniwersytetu ludowego."

DLA DZIECI.

Kolonie letnie w Danii.

Jasnemi gromadkami z za portyer wyglądają radosne główki, o buziach różowych, z oczyma bladoniebieskiemi, jak niebo Skandynawii. Z tyłu, w wagonach gwar, śmiechy, nawoływania, rzekłbyś świegot bardzo głośny wróbelków" *).

Co rok od lipca do września może wędrowiec w Danii skrzyżować się z podobnym pociągiem, zapełnionym wyłącznie dziatwą. To dzieci ze szkół ludowych jadą na wakacye. Ale nie do rodziców, ani krewnych i nie zawsze na wieś. Jadą do osób zupełnie obcych, a wszystko zmieniają środowisko. Pochodzące z miast, głównie ze stolicy, dążą do sioł, wieśniacy mkną koleją do Kopenhagi.

Jest to rodzaj kolonij letnich, ale z pewnemi modyfikacyami, którym warto się przyjrzeć.

Siedem lat temu kilka kobiet, których przodownicą była prosta nauczycielka ludowa, wpadło na pomysł złączenia za pośrednictwem dziatwy ściślejszymi węzłami mieszkańców miasta i wsi. Czyby to źle było, gdyby chłopaczek lub dziewczyna, urodzone gdzieś w zaścianku prowincyonalnym, przybyły na miesiąc, dwa, do stolicy, gdyby tu pod kierownictwem osób starszych obejrzały wszystko, co warte widzenia, gdyby przypatrzyły się miastu i mieszczanom, warunkom bytu odmiennym od tych, w których wyrastają, a o których może dziwy słyszały? A czy nie wartoby pomyśleć i o tem, żeby dzieci, więzione przez dziesięć miesięcy w murach miejskich, udały się na wieś i w zieleni, na świeżem powietrzu, w otoczeniu uśmiechniętej przyrody spędziły kilka tygodni?

Nie trudno na to odpowiedzieć. I nie trudno tego dostąpić dziatwie bogatej. Ale jak umożebnić podobną zmianę warunków biedakom?

Zacne kobiety Kopenhagi zwróciły się do średnich, raczej niższych warstw społeczeństwa—do chłopów, mieszczan i rzemieślników. Najchętniej włościanie zaopiekowali się sprawą.

Oni więc na prowincyi, a średniej zamożności klasy w mieście zobowiązały się co rok przyjmować do siebie kilkoro dzieci na wakacye. Często odbywa się prosta zamiana, chociaż nieraz ci, co tylko jedno dziecko wysłali do miasta, troje lub czworo goszczą u siebie. W każdym razie żadna strona nic drugiej nie płaci, a że szerokie koła wprowadziły pomysł w życie, państwo także wzięło udział w zainteresowaniu się, udzielając zupełnie wolnych biletów jazdy dzieciom.

Takie to żywioły biorą udział w owem arcypożytecznem przedsięwzięciu. Że posiada ono wiele podobieństwa z naszemi koloniami letniemi, łatwo zauważyć, lecz jest różnica w środkach i w sposobie urządzenia, że już nie powiem — w sile chęci.

Co rok, nim nastąpi zamknięcie szkół, specyalny komitet w Kopenhadze przyjmuje zgłoszenia miejscowe i z prowincyi. Właściwie miasto poczęło brać udział w goszczeniu dzieci dopiero od lat dwóch. Pięć lat uprzejmości wieśniaczej zawstydziło stan trzeci. Chłopi piszą często wprost do dyrekcyj szkolnych. Ten podejmuje się przyjąć jedno dziecko, inny dwoje, inny troje Zapisujący się zaznacza, czy chce mieć u siebie chłopców, czy dziewczynki. Prawie zbędnem jest dodanie, że główny zastęp jadących z miasta rekrutuje się z dzieci robotników i wyrobników. I tu dosyć zgłosić się do dyrekcyi swojej szkoły, aby znaleźć umieszczenie.

Ledwie nauka skończona, a już zaczynają się wyjazdy. Dyrekcye kolei żelaznych oddają dziatwie osobne pociągi. Przez cały tydzień wyjeżdżają, jeden za drugim, cały tydzień drepcą ulicami gromadki dzieci z nauczycielami na czele ku dworcom.

Tworzą z nich kolumny, chłopcy i dziewczęta razem. Czysto to, wesoło, każde ma w ręku chorągiewkę duńską. Na przodzie oddziału powiewa większa chorągiew. Do wagonów wsiadają dzieci same, ale przez całą drogę czuwają nad niemi konduktorzy, nadto grupuje się je według miejsc przeznaczenia. Jeśliby mimo to jakieś dziecko zbłąkało się, jeśliby mu się to zdarzyło na dworcu lub gdy wysiądzie, każdy dowie się wnet, z kim ma do czynienia, bo wszystkim „wakacyjnikom," jak ich tam nazywają, przypinają ich marszrutę do ubrania.

Na dworcach, nim jeszcze pociąg przybędzie, wieśniacy i wieśniaczki duńskie czekają z niecierpliwością. Ów lud oświecony, znający swą przeszłość, broniący swoich praw, nie uronił z serca dobroci. Od wózków roi się, dzieci wysiadają, powstaje tłok, każdy włościanin odnajduje swego przybysza, zacina konie i jazda.

Milutko schodzą wybladłej dziatwie miejskiej dni i tygodnie; owiana życzliwością, oddychająca powietrzem łąk i pól, nabiera sił. Nikt nie nakłada jej więzów. Dzieciaki biegną na pastwiska z bydłem, łażą po drzewach i płotach, myszkują po lasach, wracają zgrzane i czerwone. Ten, co ich przyjął, nie skąpi jadła, prawie zawsze mają kąpiel i wszystko, co im do szczęścia potrzeba.

Włościańskie zaś dzieci, sprzykrzywszy sobie może wieś, radeby zobaczyć trochę świata: widzieć miasto, wielki port, ogromne domy i fabryki. Chętnie też jadą do stolicy. Tu podejmują je gościnnie, a zarazem komitet miejski myśli o tem, aby pobyt zeszedł im wesoło i korzystnie.

Codzień mają wyznaczone zebrania. Doświadczeni, życzliwi przewodnicy oprowadzają te gromadki po mieście. Zwiedzają jedną po drugiej dzielnice, oglądają gmachy, przystań, muzea, ogrody. Gdzie potrzeba objaśniać, wiodący objaśniają. Po tem zabiera się wszystkich do teatru, do cyrku, urządza wycieczki w okolice, nad brzeg Sundu, do lasów królewskich, pełnych jeleni i danieli.

Zresztą mieszczanie radziby się prześcigać w uprzejmości dla młodych obywateli. Zeszłego roku wielcy restauratorzy Kopenhagi urządzili dla dziatwy ucztę, a po niej zabawę. W tym roku spotka ją znowu jakaś nadetatowa niespodzianka.

Tak spędza lato 10,000 dzieci, wysłanych z miast i 500 innych, odwiedzających stolicę.

Lecz już siana skoszone i wysuszone, listki żółkną na brzeżkach i ptaki mają się ku odlotowi. Pociągi wakacyjne znowu się zapełniają, goście wracają do swoich siedzib. Przywożą z sobą wesołość i zdrowie, a oprócz tego niejednemu dobra gospodyni i ubranie jakieś włoży do węzełka, i szynki, i jadła wiejskiego.

Bije w oczy doniosłość tych kolonij. Ogromne znaczenie pod względem fizycznym, prawdziwie genialne urządzenie strony ekonomicznej. A zarazem jaka wartość społeczna! Wieś i miasto zbliżają się, bratają, łączy je zaś nie egoistyczny jakiś interes, ale kult gościnności i dobroci. Wszystko to zrobiło kilka ubogich, nieznanych kobiet.

Pani Aniela Duc Quercy zaleca Francyi wstąpienie w ślady duńskie. Należy życzyć jak najszczerzej, aby znalazła posłuchanie. Ale czy o tem samem nie możnaby pomyśleć i u nas?

W. Bugiel.

*) Aniela Duc Quercy: Les „Enfants vacances" en Danemark (*Revue des Revues* z 1 czerwca 1897).

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Z prasy.

Kronikarz *Wieku*, poruszający energicznie sprawy społeczne i oświetlający je z pominięciem zwykłego u nas szablonu, dotknął jednej z „publicznych tajemnic."

„Od pewnego czasu — pisze on — błąka się wieść po Warszawie, że w składzie redakcyi *Ateneum* zaszły poważne zmiany. Jest podobno faktem dokonanym, że znakomity historyk literatury, dr. Piotr Chmielowski, złożył ster redakcyjny, a

miejsce jego zajęli ludzie, którzy dotychczas jedynie znani są z artykułów dziennikarskich, zamieszczanych w *Kraju* i żadnych zasług wybitniejszych około literatury ojczystej nie położyli.

Jakie tam w całej tej smutnej historyi sprężyny zakulisowe odegrały rolę, tłomaczyć nie będziemy. Zaznaczamy tylko, że usunięcie dr. Piotra Chmielowskiego z redakcyi *Ateneum* nie wróży dobrze o przyszłych losach miesięcznika, który dzięki umiejętnej redakcyi zasłużonego historyka literatury zdobył sobie powagę i szacunek w szerokich kołach miłośników wiedzy, sztuki i nauki, a w kierunku politycznym odznaczał się zawsze umiarkowaniem i objektywizmem trzeźwym.

Krakowski *Przegląd literacki*, którego nikt chyba nie posądził o stronnicze sympatye i antypatye, takie tej sprawie poświęca uwagi: „Są jeszcze ludzie odważni... Do rzędu ich zaliczyć należy właścicieli *Ateneum*, którzy usunęli od redakcyi tego miesięcznika dr. Piotra Chmielowskiego. Redagował on *Ateneum* przez lat kilkanaście sumiennie i bezstronnie, dzięki temu miano je za najwybitniejszy organ literacko-naukowy. Dlaczego więc Chmielowski przestał być redaktorem? Czy jest może ktoś na to stanowisko odpowiedniejszy? Czy sam chciał się usunąć, czy może obniżyła się jego powaga literacka? Nie, żadna taka okoliczność nie zachodzi, a co do powagi, to ta z każdym rokiem się zwiększa, bo każdy rok wydaje nowe owoce jego mozolnej, rzec można wyjątkowej pracy... Ale pp. właściciele to jeszcze nie najodważniejsi ludzie. Najodważniejszym będzie ten, który w takich warunkach przyjmie spadek po Chmielowskim. Ciekawa rzecz w każdym razie, kto będzie ten śmiałek? Napróżno jednak usiłowalibyśmy odgadnąć — to tylko wiemy, że być go nie może między poważnymi przedstawicielami literatury i nauki, wogóle między ludźmi, mającymi szacunek dla samych siebie.“

Usunięcie Chmielowskiego z redakcyi *Ateneum* jest faktem i to faktem według nas zupełnie naturalnym. Pismo to jest własnością koła ludzi, którzy w znacznej większości nie podzielali ani zasad, ani etyki obywatelskiej, ani taktyki swego redaktora. Wykładnikami tego grona są pp. W. Spasowicz i dr. Baranowski — a dwa te nazwiska usuwają potrzebę jakichkolwiek objaśnień. Ponieważ zaś oni bądź są, bądź gwałtem być chcą politykami, uczuwającymi mocną świerzbiączkę pióra i języka do zabierania głosu w kwestyach politycznych, Chmielowski zaś nietylko nie wyznawał ich katechizmu, ale wogóle chciał utrzymać pismo na stanowisku wyłącznie naukowem, zdala od targowicy interesów praktycznych, więc był dla nich niewygodnym i niepożądanym. Poprostu więc żywioły sprzeczne, mechanicznie połączone, rozprzęgły się. Co zaś do pytania *Przeglądu lit.*— kto będzie miał odwagę wziąć spadek po Chmielowskim— uważamy je za bardzo naiwne. Mecenasom *Ateneum* można odmówić wielu przymiotów, ale odwagę przyznać im należy. Dowodzili oni daleko większej śmiałości, niż ujęcie redakcyi miesięcznika.

Pogotowie ratunkowe.

Jakkolwiek twórcy projektu pogotowia dali tylko ramy, które treścią wypełniła ofiarność ogółu, miasto otrzymało bardzo potrzebne i pożyteczne ognisko pracy i zabiegow filantropijnych. Każdego z nas może dotknąć nagłe nieszczęście, wymagające natychmiastowej pomocy, ale nadewszystko, jeśli zważymy, ile to biednych ludzi kaleczeje pod kołami maszyn w fabrykach, ile spada z rusztowań i dachów, ile zostaje stratowanych pod kołami „kawalerskich dorożek“ i powozów — to łatwo zrozumiemy, jak wielkie usługi oddać może tego rodzaju instytucya, spiesząca z natychmiastowym ratunkiem. Zaledwie została otwarta, już wielokrotnie dowiodła swej istotnej użyteczności. Życzymy jej też najszerszego poparcia ze strony wszystkich, odczuwających niedolę ludzką i obowiązek łagodzenia jej.

Gorączka placowa.

Nie potrzeba być wcale prorokiem, ażeby przewidzieć smutny koniec grasującej dziś u nas „gorączki placowej.“ Cena miejsc pod budowę domów doszła w Warszawie do karkolomnej wysokości (płacono po 30 kilka rubli za łokieć kwadratowy). Rzecz naturalna, że ponieważ tego wzrostu drożyzny nie wytrzyma uboga kieszeń ludności, mającej pokryć najmem lokalów nakłady spekulantów, więc prędzej, czy później nastąpi — mówiąc gwarą giełdową — krach. Nie dość tego. Gorączka nabywania placów przeniosła się z Warszawy w okolice podmiejskie. W Pruszkowie np. już łokieć kwadratowy doszedł do 50 kop. Gdzieindziej spekulanci pokupowali na morgi grunta, które odstępują pod budowę letnich domków i ogródki. Są to zwykle głębokie, jałowe, całkiem nieurodzajne piaski, które są również sprzedawane na łokcie. Pchnięci owczym pędem Warszawiacy nabywają kawały tych wydm, płacąc po 1,000 rs. za mórg. Tak się dzieje zwłaszcza w Otwocku i jego przyległościach. A rezultat z tego taki: ludzie średniej zamożności budują dla siebie kosztowne wille, przeciążające ich budżet; letnicy muszą wynajmować mieszkania po cenach warszawskich (100 rs. za pokój na dwa miesiące); w pewnych modnych punktach powstają duże zbiorowiska domów i ludzi, przybierające charakter miast i pozbawione zdrowotnych warunków; w zbiorowiskach tych nie rozwija się wcale hodowla ogrodnicza z powodu zupełnej bezpłodności ziemi. A nad całym tym obrazem wisi chmura... krachu lub conajmniej zmarnowania poważnych kapitałów.

BADANIA NAUKOWE.

BALONEM DO BIEGUNA.

Gdy chodzi o męzkość i odwagę, epoka obecna nie ma potrzeby zazdrościć ani bohaterom świata klasycznego, ani rycerzom średniowiecznym. W społeczeństwach współczesnych bowiem znajdujemy jednostki obdarzone taką potęgą charakteru, że wobec niej legendowa śmiałość, męztwo Greków i Rzymian stają się niemal śmiesznemi. Lecz te silne duchy tegoczesne zdobywają się na wielkie czyny pod wpływem zupełnie innych pobudek, niż bohaterowie czasów odległych. W świecie klasycznym najgłówniejszym bodźcem do wykazania odwagi była miłość ojczyzny — takiem było męztwo Leonidasów, Koklesów, Fabiuszów; w wiekach średnich główną rolę grało uczucie religijne, dochodzące nieraz do masowego obłędu mistycznego. W naszych czasach poświęcenie rodzi się najczęściej z miłości wszystkich ludzi lub z miłości wiedzy. Ta ostatnia właśnie wybuchła wspaniałym płomieniem w duszy inżeniera szwedzkiego, Andréego.

Jak wiadomo z depesz gazet codziennych, d. 11 lipca z dwoma towarzyszami Strindsbergiem i Frenklem puścił się on balonem z wysepki Danoen, leżącej niedaleko północno - wschodniego brzegu Spitzbergu, do bieguna północnego. Niech kto w historyi wskaże parę jeszcze czynów, któreby się mogły mierzyć co do męztwa i odwagi z tem przedsięwzięciem! Należy bowiem pamiętać, że siadając do balonu Andrée traci wszelką władzę nad swym losem i zdaje się na łaskę i niełaskę wiatrów, burz i innych czynników atmosferycznych. Pomimo że balon jego „Orzeł“ jest ostatnim wyrazem sztuki aerostatycznej, jednakże żadnych urządzeń do kierowania nim nie posiada. Nawet bowiem swe sławne cztery liny, które wedle przewidywań miały oddać tak wielkie usługi, urwały się w chwili wzlotu. Przywiązane za jeden koniec do łódki powinny były drugim wlec się po lodzie lub w wodzie, nie powiększając w ten sposob ciężaru statku. Dzięki nim mógłby Andrée w każdej chwili wznosić się wyżej lub spuszczać, nie tracąc gazu. Aby opaść, należało tylko wciągnąć do góry liny i, zmuszając je do wiszenia w powietrzu, powiększyć ciężar łódki, a więc i samego statku; opuszczając je zaś na lód lub do wody, można było zmniejszać ciężar balonu, skutkiem tego podnosić go wyżej. Prawda, liny mogłyby rozmięknąć w wodzie i stać się zbyt ciężkiemi; mogłyby się również zaczepić o lód i wstrzymać aeronautów, lecz dzielny inżenier przewidział to wszystko: aby uchronić liny od wody, napoił je waseliną, prócz tego w dolnych częściach porobił miejsca słabsze, dzięki czemu można je było łatwo w razie potrzeby zerwać. Lecz niestety, nie sądzono było im oddać usług podróżnikom. Sam balon, arcydzieło aerostatyki, zbudowany został w roku zeszłym w Paryżu przez Lachambre'a i posiada objętość 5-ciu tysięcy stóp kubicznych.

Specyalista chemik napełnił go gazem i pod okiem również wykwalifikowanych specyalistów znajdował się on do chwili wzlotu. Zbudowany jest z najcieńszego i najtrwalszego jedwabiu chińskiego, tkwi w pomieszczeniu, którego ściany wewnętrzne jak również i podłoga obite są wojłokiem, aby w ten sposób uniemożebnić jakiekolwiek uszkodzenie. Części drewniane, z plecionego drzewa, są nadzwyczaj mocne. W łódce jest dosyć miejsca dla najniezbędniejszych przyrządów, biblioteczki i pościeli dla dwu ludzi, gdyż jeden z aeronautów musi stale czuwać. Zapasy żywności znajdują się w workach, wiszących między sznurami łódki i służących jako balast. Kuchnia mieści się pod łódką, najzupełniej izolowana z obawy przed ogniem. W rozmaitych punktach dalekiej północy przygotowano podróżnikom na wszelki wypadek zapasy żywności; do jednego z najdalszych zawiózł je Swedenborg, zięć znakomitego badacza krain polarnych, Nordenskjölda. Dla przesyłania wiadomości zbudował Andrée przyrządy metaliczne w kształcie gruszek, mogące wytrzymać ciśnienie około dwudziestu atmosfer, puste w środu i opatrzone w chorągiewki. Wewnątrz nich jest dosyć miejsca dla listów, które dzięki takiemu urządzeniu mogą z łatwością dostać się do jakichkolwiek brzegów. Nadto zabrano z sobą w klatce cztery gołębie pocztowe. Jeden z nich miał być nawet wypuszczony przez Strindberga w chwili wzlotu z pozdrowieniem dla narzeczonej.

Oto jak wygląda strona materyalna wyprawy Andréego.

Pomimo możliwie najlepszych warunków i środków wyprawy, trudno przewidzieć cały ogrom niebezpieczeństwa, grożącego nieustraszonym badaczom; zmienność wiatrów, zupełna nieznajomość krain podbiegunowych, pęknięcie balonu — oto czynniki, mogące w każdej chwili wywołać nieuchronną zgubę. Zaiste, wielkiej trzeba miłości wiedzy i wytrzymałych nerwów, aby na taki czyn bohaterski się zdobyć, bo i któż odgadnie, jakie dramaty duchowe rozegrać się jeszcze mogą tam na dalekiej północy pod bladymi promieniami biegunowego słońca? Być może, w tej samej chwili, gdy pod stopami aeronautów ukaże się ów tajemniczy bie-

gną, u samego celu tej strasznej podróży spotka ich śmierć zdala od wszystkich tych, którzy z takiem upragnieniem powrotu ich oczekują. Być, może, że ów mściwy legendowy duch północy dosięgnie ich swą straszną dłonią wtedy, kiedy upojeni tryumfem, do ojczyzny już wracać będą. Być może wreszcie, że ich schwyci w zasadzkę o kilka kroków od upragnionego celu, dając im odczuć całą gorycz rozwianych marzeń i nieziszczonych nadziei. Czy o tem wszystkiem myślał Andrée?

Michał Mutermilch.

LITERATURA I SZTUKA.

Jan Chryzostom Pasek

W PAMIĘTNIKACH I W KOMEDYI.

P. Stanisław Krzomiński, pisząc w 29 nr. *Prawdy* o dwu pokrewnych [illegible] treścią, a współcześnie wystawionych u nas, komedyach pseudo-historycznych: *Grochowym wiencu* (A. Małeckiego) i *Towarzyszu pancernym* (M. Wołowskiego), zauważył, że „dzielny nasz pan J. Ch. Pasek" nie doczekał się dotąd w dramacie polskim „syntezy" swego „charakteru." Zdanie szanownego krytyka, a zwłaszcza epitet, przypisany autorowi słynnych *Pamiętników*, harmonizuje zupełnie z ustaloną w dziejach naszego piśmiennictwa opinią o Pasku: jak Achilles u Homera zawsze jest „szybkonogi," „do boga podobny," „boski," tak z imieniem Jana Chryzostoma, we wszystkich podręcznikach, monografiach i wykładach, od chwili odkrycia i ogłoszenia drukiem zabytku (przez Edwarda Raczyńskiego w r. 1836 i przez S. A. Lachowicza w 1843) zrosły się, można powiedzieć, wielce zaszczytne przymiotniki: „nieoceniony," „niezrównany," „dzielny." Występując tedy dzisiaj przeciw skrystalizowanej od pół wieku, optymistycznej ocenie dawnego wojaka-sejmikowicza, która pod piórem zasłużonego pisarza znalazła swój wyraz treściwy, czuję dobrze, iż jestem rozdźwiękiem w harmonii ogólnej; na pewnym wszakże gruncie oparte i długą rozwagą wzmocnione przekonanie każe mi korzystać z nadanego przez redakcyę prawa głosu.

Postaram się w obecnym artykule scharakteryzować pokrótce Paska historycznego, jako jednostkę umysłowo moralną, i zarazem określić stosunek tej postaci, o ile ją znamy z *Pamiętników*, do bohatera komedyi p. t. *Towarzysz pancerny*.

Mazur typowy, z rodu, temperamentu i uzdolnień, prawowite dziecię swego wieku, Jan Chryzostom Pasek nauczył się niezawodnie jeszcze w domu rodzicielskim jeździć konno, pływać, strzelać z rusznicy, władać szabelką i odmawiać pacierze, a potem u ojców jezuitów nabył wprawy w swadzie makaronicznej i zaczerpnął tyle wiedzy, ile koniecznie było potrzeba ówczesnemu szlachcicowi, żeby na sejmikach i zebraniach nie siedział, jak malowany. Kilkoletnia służba wojskowa pod Stefanem Czarnieckim uzupełniła edukacyę.

Wykształcenie szkolne Paska jest o wiele niższe, niż któregokolwiek ze znanych pisarzy polskich w XVII stuleciu. Nie można utrzymywać nawet, żeby językiem ojczystym władał tak, jak przystało choćby podrzędnemu literatowi danej epoki. Co chwila spotykamy się u niego z ułamkami zdań lub niedorzecznie powikłanemi wyrażeniami, np. „Tryumfy publiczne sprawują *z otrzymanych wiktoryi, choć też nie za prawdziwą, lecz za zmyśloną*" „Kiedy *już insze odprawiły się indukcye, jako* się potykali, jako się piechoty zwierały, jako komunik, jako strona stronie z placu ustępowali, jako... *zgoła z wielkim kosztem i magnificencyą te rzeczy odprawowały się...*" (str. 341, wyd. *Bibl. Mrówki*). Jan Chr. Pasek — to prostak, nieznający się wcale na sztuce pisarskiej; dość go porównać ze współczesnym politykiem-moralistą, Andrzejem Maksymilianem Fredrą lub z poźniejszym nieco, Erazmem Otwinowskim, niepospolitym, choć w podręcznikach lekceważąco traktowanym, pamiętnikarzem, aby spostrzedz olbrzymią różnicę, zachodzącą między dwoma tymi autorami a intruzem w historyi literatury polskiej, którego stale „naszym dzielnym" nazywamy. Słyszę tu gotowy, z tysiąca ust płynący, zarzut: „Ależ werwa, humor, żywość opowiadania — to skarb wielki, a Pasek go posiada..." Prawda, — odrzeknę; dlaczegóż jednak, panowie, nie zaliczycie do historyi literatury wszystkich „Radziwiłłów panie kochanku," „Papkinów," „Jowialskich," „Wojskich," „Zagłobów," i wogóle wesołych a dowcipnych bajarzów, których ma każda epoka, każdy niemal powiat? — Czyż nakoniec humor, z rozumem i zacnością obywatelską rozbratany, może zasługiwać na poważne uznanie? — A Janowi Chryzostomowi Paskowi, o ile nie jesteśmy zahypnotyzowani urokiem sześćdziesięcioletnich blizko zachwytów, mamy prawo, na zasadzie pozostałego po nim zabytku, przypisywać... miałki rozum i nizkie, z zupełnym nieraz graniczące, zanikiem, poczucie godności obywatelskiej. Łatwo dowieść tej tezy.

Polityka polska w drugiej połowie XVII wieku była, jak wiadomo, zależną od walki dwu potęg europejskich: francuskiej i austryackiej. Jan Kazimierz po najeździe szwedzkim wahał się czas jakiś między tymi prądami, aż nareszcie (r. 1658) przyjął w sprawie pokoju z nieprzyjacielem pośrednictwo francuskie. Współcześnie rodzą się na dworze królewskim projekty głębszej reformy państwowej, ściśle połączone z zamiarem elekcyi następcy tronu za życia monarchy. Przeważny liczbą, ogół szlachty, zaniepokojony o swe przywileje, a nabechtywany przez agentów austryackich, nie sprzyjał tym dążeniom. Pasek, jako jeden z mnóstwa pionków, szedł w dobrej zgodzie z tłumem, widząc tylko skutki, a nie mając najmniejszego pojęcia o przyczynach i celach, o działaczach i sprężynach.

W r. 1664, jak sam naiwnie opowiada, przyjmował czynny udział w manifestacyjnej a wielce gorszącej burdzie krwawej. Francuzi, przebywający na dworze królewskim, urządzili w Warszawie (zapewne w jakiej szopie, pod miastem naprędce wzniesionej) przedstawienie cyrkowe, które uplastyczniało zwycięzką walkę Ludwika XIV z cesarzem Leopoldem. Obecna w stolicy szlachta, umyślnie czy nieumyślnie, zebrała się gromadą zbrojną na to widowisko, i dając ujście swej nienawiści ku „duchom francuskim," poczęła strzelać do aktorów. „Jeden z Polaków konnych" (prawdopodobnie sam Pasek), przemówiwszy *dowcipnie*, „porwał się do łuku"; inni poszli za nim: „kiedy wezmą szyć w ową kupę, naszpikowano Francuzów; samego, co siedział w osobie króla, postrzelono; naostatek łeb z majestatu (prawdopodobnie maska) spadł pod teatr; z innymi Francuzami uciekł. Stał się tedy po Warszawie (według własnych słów pamiętnikarza) wielki rozruch. Owi, co strzelali, każdy w swą; i ja sam wyjechałem, żebym napaści jakiej nie miał, żem też to sam stał w tej kupie. Pół mile za Warszawę, wyjechawszy ku Tarczynowi, zostawiłem u pana Łączyńskiego łuk, żebym uszedł podobieństwa..."

Czyż takiemu człowiekowi godzi się nadawać miano „dzielnego" — a więc przedewszystkiem rozsądnego i uczciwego obywatela — tembardziej, że nie został pod wpływem żadnego osobistego uniesienia, a wcale później nie żałował swego uczestnictwa w barbarzyńskiej awanturze?

Wkrótce potem wybuchł rokosz Lubomirskiego. Jan Chryzostom, wraz z całymi tłumami współbraci, stoi *duszą i sercem* po stronie magnata; jest pewien, że sam Pan Bóg skrzydłami swej opieki osłania „uciemiężonego obywatela" („do wypadku wojny domowej *obróciwszy* pióro, jako z początku, tak i do końca Pan Bóg przy niewinności *stawał*"); *ciałem* wszakże, broniąc, czynem należy do obozu przeciwnego. Co za racya zmuszała do tak szkaradnej dwulicowości, badać nie będziemy; to jednak pewna, że Pasek napiętnował się tu wyraźnie, jako *człowiek bez charakteru*. O bitwie pod Mątwami (13 lipca r. 1666), gdzie lubomirszczycy wyprawili krwawą łaźnię królewszczykom, opowiada pamiętnikarz ze spokojem epicznym i właściwym sobie... humorem, który tu jest chyba czemś w rodzaju śmiechu synaidyoty nad łożem śmiertelnie chorej matki.

Kreśląc później barwny obrazek elekcyi Michała Wiśniowieckiego (1669), Pasek nie przeczuwa nawet, iż zostaje pod wpływem agentów austryackich; nie wie, że biskup Andrzej Olszowski zwrócił niedawno szczególną uwagę na syna Jeremiego w swej broszurze politycznej p. t. *Censura candidatorum sceptri polonici*; imię nowego króla, jak mniema, sam Bóg bezpośrednio „do serca" mu „podał."

Przytoczone powyżej fakty nie wystarczają jeszcze wprawdzie do zbudowania wyczerpującej „syntezy charakteru" Paska, ale dość jasno chyba dowodzą, że taka synteza byłaby mało pożądaną ozdobą w galeryi naszych portretów narodowych...

P. Michał Wołowski, pisząc swą efektowną komedyę pseudo-historyczną p. n. *Towarzysz pancerny*, miał widocznie zamiar przedstawić Paska, jako jednostkę prywatną, na drodze zabiegów matrymonialnych, i jako rycerza z pod chorągwi Czarnieckiego. Trzeba tu było, naturalnie, dbać trochę o historyę, lecz daleko więcej o psychologię. Autor przeniewierzył się obu tym mistrzyniom. Za pierwszą podstawę musiał p. Wołowskiemu służyć rozdział *Pamiętników*, oznaczony rokiem 1667, kiedy Jan Chryzostom wchodził w związki małżeńskie; ale ponieważ Pasek spoczywał już wtedy na laurach, a jego wódz, Stefan Czarniecki, od dwu lat leżał w grobie, wypadało więc, dla urozmaicenia popędów „sakramentalnych" — rycerskiemi, zaimprowizować naprędce małą wojnę ze Szwedem i przypomnieć konfederacyę wojskową z roku 1661 — w odpowiedniem, ze względu na bohatera, zabarwieniu artystycznem. Przy końcu aktu I-go, który, mówiąc nawiasem, udał się autorowi, odgłos pieśni bojowej wywiera tak magiczny wpływ na Paska, że ten, przerywa w połowie oświadczenie o rękę panny, i z okrzykiem, godnym dzielnego obywatela, śpieszy na wojnę. Jest-to, rozumie się, niezgodne ze świadectwem dziejowem, ale... wzruszające. W drugim akcie już słyszymy o zawarciu przymierza z nieprzyjacielem, i spotykamy się z całym szeregiem sprzecznych — już to krotochwilnych, już to silnie dramatycznych efektów. Nie mając zamiaru wdawać się w krytykę utworu, zwrócimy jedynie uwagę na to, co zostaje w ściślejszym związku z odbitą w *Pamiętnikach* postacią. Paskowi donosi listownie starszy kolega wojskowy, Borzęcki, o zawiązaniu konfederacyi i zaprasza do związku. Towarzysz chorągwi pancernej, z oburzeniem, godnem idealnego bohatera, drze na kawałki pismo i raz na zawsze zrywa z „komilitonami," którzy *„dla kawałka chleba* zaprzedali duszę Lucypero-

wi.“ Tu w umyśle widza-słuchacza, obeznanego z *Pamiętnikami*, budzi się przykre odczucie zmyślenia. Pasek rzeczywiście należał przez jakiś czas w r. 1661 do konfederacyi wojskowej, mającej na celu wyzyskanie największego możliwie od Rzeczypospolitej żołdu; ale gdy mu kazano związać się przysięgą, zwłóczył, a w końcu odstąpił. Nie okazał się on tu wcale bezinteresownym patryotą, ale raczej ostrożnym a przebiegłym partyzantem. Oto własne jego słowa: „Ja zaś, będąc między młotem a kowadłem, mając równe z inszemi zasługi, i bywszy godzien wespół z niemi tak tłustego chleba, chciałem być w związku, bo mi tam jakiś urząd kancelerski już byli naznaczyli, ale przysięgą w żaden sposób nie chciałem się wiązać, i tak przez kilka czasów wywijałem się, pókim mógł...“ Pragnął więc *„tłustego chleba“* lecz nie chciał na siebie nakładać więzów, któreby mu zagrodziły drogę do łask u strony przeciwnej; owszem, przypuszczał, że po za związkiem lepiej sytuacyę wyzyska i *za wierność* sutszy odbierze upominek; nie omylił się też na swoj rachubie, chociaż go ten łamaniec niemało kosztował kłopotów. Jest-to, jak widzimy, nowy, a wcale nie dodatni szczegół do „syntezy charakteru Paska.“

W wizerunku tytułowej postaci *Towarzysza pancernego* znajdujemy jeszcze jeden — małej zresztą wagi — rys, niezgodny z oryginałem. Niewiadomo, dlaczego autor uczynił bohatera tak starym, że młode dziewczęta, którym się oświadcza, nie mogą ku niemu żadnego trwalszego powziąć uczucia, a najbliższe otoczenie zwraca ciągle uwagę na jego wiek późny. Tymczasem, według *Pamiętników*, Pasek w dobie swego ożenku liczył około 30 lat. Gdy w Danii (1658) chciał ściąć „tłustego“ Szweda, starszy kolega, Adamowski, wstrzymywał go słowami: „Panie bracie, gruby ma kark na waści *młodą* rękę.“ Stąd wynika, że rycerzyk mógł być wtedy jeszcze nawet niepełnoletnim. W r. 1662 posłowie cara Aleksieja, którym z rozkazu Czarnieckiego asystuje, nazywają go „mołody“ (str. 285); on sam wówczas mówi o sobie, że jest w „kwiecie wieku“ (str. 279). Nie było więc najmniejszej racyi przedstawiać „towarzysza chorągwi pancernej“ pod r. 1667, jako kawalera marcowego, tembardziej, że młodość zalotnika wobec starej wdowy, do której ostatecznie zapały swe zwrócił, wytwarzałaby pożądany efekt komiczny.

Główny charakter w sztuce p. Wołowskiego urąga, jak to już wspomnieliśmy, nietylko świadectwu dziejowemu, ale i prawdzie psychologicznej. Pasek w tem najnowszem swojem odzwierciedleniu dramatycznem jest osobą podwójną: z jednej strony — bezmyślno-zabawny mówca, dążący na oślep do małżeństwa z coraz to inną białogłową, łgarz, zawadyaka i opój; z drugiej — rycerz „bez trwogi i nagany,“ Bayard polski, czystej krwi bohater, który sławę wojenną i dobro publiczne nad wszelkie przekłada ponęty. Autor, snując swą pracę, ulegał widocznie sprzecznym pokusom: chciał *ubawić* publiczność i zarazem do głębi *wzruszyć*. Można było rzeczywiście pogodzić jedno z drugiem; lecz należało zachować odpowiednią miarę, i albo komizm podnieść z poziomu farsy na wyższy szczebel, albo patetyczne wyskoki bohatera obniżyć. W każdym razie ta Janusowa postać pseudo-Paska bardziej, według mego zdania, swą krotochwilną, niż dramatyczną połową, zbliża się do oryginału, o ile go z *Pamiętników* znamy.

A. G. Bem.

POKŁOSIE POETYCZNE.

I.

Ludwik Szczepański: *Srebrne noce, Hymny.* — Jerzy Żuławski: *Intermezzo.*—Jerzy Klemensiewicz: *Poezye.*

Między życiem ludzkiem a literaturą, prócz bardzo ścisłego związku i wzajemnego oddziaływania, istnieje jeszcze bliskie powinowactwo. Pewne prawa stałe i niewzruszone rządzą zjawiskami życia, pewne prawa kierują też objawami twórczości literackiej. I jedno i drugie zjawiska toczą się łożyskiem nader niejednostajnem; bywają w życiu takie przejścia i wstrząśnienia, od których włosy siwieją w jedną dobę; ale czasem składa się ono tylko z drobnych bólów i drobnych radości, z miniaturowych pragnień i nikłych rozczarowań, a wszystko to czepia go się, jak rdza żelaza, trawi i niszczy.

Zdaje się, że poezya nasza przeżywa obecnie dość długi okres takich „drobnych wzruszeń.“ Po wielkich wstrząśnieniach, które zawdzięczała geniuszom, śpiewano jej wprawdzie już zawczasu nader czułe i uroczyste *Requiem*, ale ona najwidoczniej drwi sobie ze wszelkich wróżb i przepowiedni: „fakty są uparte,“ a życie, choć bez „potężnych starć i wielkich pokuszeń“ zawsze jest życiem. Pozostaje tylko tak często rozbierana dzisiaj wierszem i prozą kwestya rozdźwięku pomiędzy poetą a jego społeczeństwem; mówi się o niej bardzo wiele głębokich i mądrych słów, rozstrząsa się warunki dzisiejszego ustroju społecznego i stanu umysłowego, a ostatecznie stawia się ją na zupełnie odrębnem, bardziej upośledzonem, niż we wszystkich innych czasach, stanowisku. A zdaje się, że stosunek pomiędzy poetą a czytającą go publicznością po wieki wieków opierał się na tych samych zasadach, od jakich jest zależny i dzisiaj. Kto z piszących żyjąc i działając w dziejowych chwilach przełomów, nie budził świadomości ogólnej ku żywym, ogólnoludzkim ideom, tego nie może czcić współczesność, a potomność nie postawi go w rzędzie szlachetnych rzeczników rodzimego słowa.

Każdy z wielkich poetów wszechświatowych miał w sobie coś ze społecznego działacza, a można twierdzić ze wszelką pewnością, że przy innych warunkach życiowych tacy Shakespeare'owie, Dantowie, Mickiewicze zamieniliby się na Lutrów, Marxów, albo Napoleonów. My nie mamy samoistnie żyjącej filozofii moralności, ani nauki socyalnej, gdzież więc, jeżeli nie w dziełach artystów, szukać ma współczesne społeczeństwo wyległej w milionach umysłów sumy pojęć o palących kwestyach teraźniejszego bytu?

Dzisiaj istnieje cała plejada młodych twórców, którzy przynoszą z sobą na targowisko literatury drobne talenty i wielkie ambicye, nie żądając w zamian nic, prócz uznania i sławy, a kiedy towar nie ma zbytu, odchodzą, wołając: „minęły czasy poezyi!“ Co im na to odpowiada młode pokolenie? „Moi piękni panowie, i za cóż my was czcić mamy? Coście zrobili dla nas? Czemżeście wzbogacili świadomość naszą? Czyście przynieśli choćby jeden kamyk, jedną drzazgę dla zbudowania mostu nad przepaścią pomiędzy ideałem a rzeczywistością? Czyście rzucili choćby jedną iskrę zgrozy w bagniska przesądów, sobkostwa i spodlenia? Czy zwaliliście choćby jedną cegiełkę z potwornego gmachu złudzeń i uprzedzeń? Czy staliście, nie powiemy już wyżej, ale choćby narówni z ideami wieku? Czy mieliście tyle zdrowego rozsądku i energii mózgu, ażeby wyrwać te idee z powietrza czasu? Czy posiadaliście tę czystość duszy, która jak zwierciadło odbija w sobie zjawiska życiowe z ich szarą treścią i bezdennym smutkiem?..

Nie, nie i nie.

Siedzieliście jak ślimaki w ciasnej skorupie waszego psychicznego „ja.“ Kołysaliście nas aż do mdłości misternie szlifowanemi zwrotkami waszych cichych melodyj. Karmiliście nas aż do niestrawności nikłymi odcieniami jeszcze niklejszych uczuć. Streszczaliście w lodowato - zimnych, a wytwornych wierszach filozoficzne wyznania Buddhy, Zoroastra, Mahometa i Bóg wie nie kogo; piętrzyliście szumnie skandowano frazesy z najefektowniejszych paradoksów Nietzschego; przylepialiście rymowane końcówki do najczarniejszych aforyzmów Hartmana. Ale czy to wszystko jest pożyń? Co nas obchodzić może, że pan X. ubóstwia swoją lubą w taki sposób, a pan Y. swoją w owaki? Co nas obchodzić może, jak drgnęło serce pana L. przy rozstaniu z ukochaną? Za cóż więc was czcić mamy i pomniki wam stawiać, za cóż dobijacie się o sławę i nieśmiertelność?“ I to mówią ludzie, którym nie jest znowu tak obojętne każde zjawisko na niwie poetycznej, jak to przesądza ogólne mniemanie, którym w krew już weszły dzieła takich siewców słowa, jak Asnyk, Konopnicka, Niemojewski, Tetmajer, Kasprowicz.

Leży przede mną kilka książeczek z rymowanymi utworami, które niedawno ukazały się w druku. Zobaczmy, co dają nam ci najmłodsi i czego się wzamian od nas mogą spodziewać? Widzę przeważnie nazwiska nieznane, a więc prawdopodobnie pierwsze poloty, które mają zawsze w sobie coś z uroku pierwszej miłości. Dlatego też wybacza im się wiele: i ślepotę na niektóre strony ich ideałów, i bezwzględność, z jaką ciskają słowa potępienia dla przeżytych form i odleżałych tradycyj, nie razi nas czupurność w wygłaszaniu własnych teoryj i opluwania tego, co jeszcze niedawno było świętością. Bo kiedy się jest młodym, to wydaje się, że powietrze, którem oddychamy, niesie z sobą takie powiewy, jakie jeszcze nigdy ludzi nie budziły, że nowy wiek, który idzie z nami, tyle uczyni dla ludzkości, ile nie uczyniły wszystkie poprzednie razem wzięte. Zapomina się o tem, że każdy prąd jest równie dobry, byleby silne ręce i uczciwe serca działały w imię jego haseł. Każda epoka ma swoje mroki i swoje świty, a trudno uwierzyć, żeby nasza pod tym względem była od innych lepszą, albo gorszą.

P. Ludwik Szczepański np. upewnia nas, że „idzie nowych dni zaranie,“ że „człowiek zbudzi się i wstanie,“ że „idą wielkie, wielkie bogi,“ że „w promienistym jutrzni świcie nowe życia tryną zdroje, nowe się obudzi życie,“ a to, cośmy niedawno przeżyli i co dotychczas jeszcze przeżywamy, obrzuca brzydkimi epitetami „filisterstwa, barbarzyństwa.“ Zapewne, w dzisiejszej atmosferze krąży wiele miazmatów społecznych, a wiele dziedzin ludzkiego ducha zalegają jeszcze bardzo smutne mroki; ale dzisiejszy dzień nie jest przecież tak wyjątkowo bezdenną otchłanią ciemności i brudu, a trudno najbardziej optymistycznie nastrojonemu człowiekowi uwierzyć, żeby się znowu tak nagle miało rozpalić dla nas jakie wielkie słońce. A czy p. Szczepański ma prawo twierdzić to tak pewnie i stanowczo? Ze swojego artystycznego i poetycznego stanowiska jaknajzupełniejsze; ale i my, z naszego, życiowego, możemy czytać jego „Hymny,“ przyznawać im czasem dużą siłę i szczery zapał i... zupełnie im nie wierzyć. Czy można jednak robić autorowi zarzut, że on jest takiego, a nie innego przekonania? Zdaje się, że nie. Istnieje siła, stojąca powyżej wszelkich zasad najróżnorodniejszych odcieni i normująca wspólne *modus*

vivendi najodmienniejszych indywidualności — jest to siła szczerości myśli, a bije ona jasno w oczy z kilku ostatnich utworów zbiorku „Hymny." Jak za każdą armią karną i bitną ciągnie w pewnej odległości gromada rabusiów i maruderów, podszywająca się pod miano żołnierzy i plądrująca bezkarnie, gdzie i co się da, tak za szeregiem ludzi dobrej woli i gorącej duszy, walczących w imię pewnych nowych prawd, wlecze się w pewnej odległości stado próżnych krzykaczy, tłukących w dziurawy bęben fałszywego zachwytu dla wszelkiej „nowości," dmących w świszczące dudy koguciej odwagi i unoszących z sobą łup groszowego bohaterstwa i zdawkowej popularności. Z przyjemnością zaznaczam, że poezya p. Szczepańskiego, pomimo że pole jej zaledwie o miedzę graniczy z glebą, przynoszącą tylko co wspomniane plody, pomimo ogólników, jakimi zbywa rozstrząsane kwestye, nie ma w sobie ani cienia tej wstrętnej działalności.

Brak jej wzamian za to także i wielu innych rzeczy, a przedewszystkiem samodzielności i oryginalności. P. Szczepański ma bardzo bluszczową naturę i chętnie obwija się swoimi poetycznymi pomysłami około wspomnień ze Słowackiego, Carducciego, Tetmajera, Maeterlincka, oraz wielu francuskich i belgijskich dekadentów. Od nich zaczerpnął takie porównania, jak „biała rozkosz," „modra dola," „modra tęsknota," „szumiąca ciemność," „siny lęk," „opalowe fale rozmarzeń," te same też prawdopodobnie niedobre duchy podszepnęły napisanie „Srebrnych nocy," których najładniejszą i najmądrzejszą stroną jest malowana okładka. We Francyi i Belgii płynie dziś ta ożywcza krynica, w której kąpią swoje natchnione duchy współcześni poeci nasi, a tam, jak mówi Słowacki:

> Dzisiaj każdy wieszcz z rozkazem...

Zjawia się więc od czasu do czasu jakiś poeta o miernym talencie, ogłasza się twórcą zupełnie nowej pieśni i woła: „Śpiewajcie wszyscy tak, jak ja, bo tylko taka pieśń, jak moja, jest piękna." A publiczność, bardziej oszołomiona i zdumiona, niż zachwycona, zamiast odpowiedzieć takiemu panu: „śpiewasz, trutniu, tak, bo nie potrafisz lepiej," zaczyna zapomocą autosuggestyi wmawiać w siebie, że rzeczywiście taka poezya w dzisiejszych czasach i przy obecnych warunkach jest jedyną, mającą racyę bytu, tworzą się liczne dzieła objaśniające „instrumentacyę dźwięków," barwy samogłosek i spółgłosek itd., powstają śmiałe a oryginalne hipotezy, tyczące się znaczenia tego lub owego wyrazu w tekście, tak że nieraz dla wszechstronnego zgłębienia wierszyka, mogącego się pomieścić w kieszeni od kamizelki, trzebaby ciągnąć za sobą cały wózek z komentarzami.

Jednem z najgłośniejszych w swoim czasie takich praw był rozkaz „zniesienia supremacyi myśli nad tłumem," czyli, wyrażając się językiem bardziej zrozumiałym: myśl w utworze poetycznym jest balastem zbytecznym, powinien on działać tylko samą kombinacyą dźwięków. Nie wiem, czy p. Szczepański miał na względzie ową teoryę, pisząc swoje „Srebrne noce," to pewna tylko, że ilustrują one ją znakomicie. Łaskoczą system nerwowy, jak dobre cygaro; podczas czytania wpada się w jakiś stan bezkrytycznego odurzenia, a po przeczytaniu odrzuca się je, jak się odrzuca niedopałek cygara i tylež po nich pozostaje, co po niem.

Czasem spotyka się śród ludzi nieznajomą twarz: niema nic uderzającego w jej rysach, nie pociąga harmonią linij, a jednak przylepia się tak silnie do pamięci, że człowiek usilnie stara się potem przypomnieć sobie, gdzie i kiedy ją spotkał i długo majaczy, niby wizya, przed oczami. Takie wrażenie sprawiają niektóre utwory poetyczne, chociaż czasami zapomina się nawet nazwiska autora oraz ich tytuł. Dlaczego? Bo w każdym wierszu jest coś, co *pomimo* treści i formy stanowi tajemnicę jego estetycznego życia. Otóż tego „czegoś" niema właśnie w utworach ze zbiorku „Srebrne noce," a także w wielu z „Hymnów." Nie zachowano tu głównego warunku twórczości artystycznej: współczesności idei i formy. Znać, że te wiersze pojedyncze za kark sprowadzono w jedno miejsce, że je zczepiono mechanicznie, rozkazując im pięknie dźwięczyć; pod tym ostatnim względem trzeba nawet przyznać autorowi *sui generis* wirtuozostwo. Zdawałoby się, że w p. Szczepańskim siedzi dwóch ludzi: jeden jest zręcznym zaganiaczem słów i frazesów w melodyjne strofy — i ten napisał „Srebrne noce"; drugi jest poetą, umiejącym czuć silnie i silnie wypowiadać bóle, pragnienia i nadzieje nietylko swoje własne. A kto się chce o tem przekonać, niech przeczyta „Hymn do szatana," „Nienawidzę," „Dopókiż jeszcze?", „Kto przeciw nam?", „Miejmy w pamięci," a zwłaszcza prześliczną „Kryptę Mickiewicza."

(D. n.).

Władysław Sterling.

SPRAWY EKONOMICZNE

ZE STOSUNKÓW ROLNYCH.

Jeszcze o konkurencyi zamorskiej i o złudzeniach ziemiańskich. — Zbiorniki i śpichlerze zboża w koloniach. — Produkcya kukurydzy źródłem niskich cen. — Kilka uwag ogólnych.

[illegible]ie od rzeczy będzie wobec nadchodzących zbiorów z pól, zatrzymać się nad stanem rynku zbożowego w chwili obecnej. Naturalnie, nie mamy zamiaru rozważać widoków, jakie rolnicy mieć mogą w roku bieżącym co do poziomu cen na zboże. Tego rodzaju obliczenia nie posiadają dla mnie uroku, że już nie mówię o całej trudności ich uskutecznienia. Chodzi mi o coś donioślejszego, mianowicie o dążenia, które zapanowały na rynku zbożowym i dają rękojmię, że będą tam nadal przewodziły rozwojowi stosunków.

Konkurencya zamorska ciąży nad rolnictwem europejskiem jak dawniej. Ale niema takiej klęski, do której po pewnym czasie nie można byłoby się przyzwyczaić. To samo powtórzyło się i co do napływu zboża z Ameryki północnej i innych krajów kolonialnych. W pierwszej chwili odczuto dotkliwie skutki współzawodnictwa. Łudzono się jednak nadzieją, że jest to złe tylko czasowe i Amerykanie niebawem zaprzestaną wysyłać ładunki pszenicy do naszej części świata. Proroctwa te nie sprawdziły się. Fakty nietylko zadały kłam wszelkim obietnicom tego rodzaju, ale nadto wzmogły klęskę, bo do zboża amerykańskiego dołączyło się indyjskie, australskie, argentyńskie. Jeszcze kilka lat upłynęło, i zaprzestano zupełnie zajmować się tą kwestyą. Nawet zaczęto twierdzić, że niskie ceny wynikają z przyczyn zupełnie obcych pojawieniu się współzawodników zamorskich na europejskim rynku zbożowym...

W rzeczy samej istnieją pewne fakty, mogące w błąd wprowadzić umysły powierzchowne. Nadmiar zboża na rynku oraz samo współzawodnictwo zamorskie są zjawiskami dość złożonemi. Poddając je rozbiorowi, trzeba brać pod uwagę bardzo wiele czynników i sprężyn, bo uwzględniwszy tylko niektóre, łatwo można dojść do wniosków niewłaściwych. Takimi objawami, mogącymi kogoś naprowadzić na powątpiewanie o zagrażającem niebezpieczeństwie, są: popierwsze, zmniejszone napięcie rozszerzania się obszaru uprawianego za morzem i powtóre, utrzymywanie się rozmiarów rocznej produkcyi pszenicy na pewnym mało zmiennym poziomie.

Współzawodnictwo zamorskie zjawiło się nieoczekiwane, najściem swojem przypominając zachowanie się rzeki, wzbierającej w porze niewłaściwej i zatapiającej rozległe obszary. Lata 1871—1880 były w Stanach Zjednoczonych okresem gorączkowego karczunku stepów, zwłaszcza leżących w porzeczu sławnej rzeki Czerwonej. Obliczono, że rozmiary gruntu ornego, będącego pod pszenicą i kukurydzą, podniosły się w tym przeciągu czasu. Liczba ta przedstawi się umysłowi naszemu namacalniej, gdy przetłomaczymy stosunki zamorskie na język faktów swojskich. Okaże się wtedy, iż w ciągu lat 1870—1880 ilość wyprodukowanej rocznie pszenicy wzrosła o kwotę, siedem razy przewyższającą cały przeciętny zbiór tego zboża w kraju naszym. I właśnie jako wynik takiego pospiesznego rozszerzania pól, w r. 1879 nastąpił ów wylew zboża amerykańskiego do Europy, stanowiący niewątpliwie chwilę przełomową w dziejach stulecia obecnego. Pszenicy zjawiło się tyle, iż przepełniła wszelkie kanały zbytu i wywołała niskie ceny. Ta ostatnia okoliczność podziałała ochładzająco, yankee bowiem nie jest tak nierozsądny, ażeby produkował towar, niedający mu należytych zysków. Departament rolnictwa w Waszyngtonie w sprawozdaniu urzędowem zaznacza, że nieopłacające się ceny stanowią jedyny hamulec, niepozwalający produkcyi zboża wzrastać, ale że dość będzie odpowiedniej zwyżki, ażeby w następnym roku rozszerzono w Stanach Zjednoczonych obszary gruntów ornych w stopniu należytym. Że nie jest to czcza przechwałka, ani pogróżka, o tem przekonywa nas poniżej zamieszczona tablica, pokazująca, iż uprawa pszenicy za Atlantykiem podlega systematycznym rozszerzeniom i skurczeniom w zależności od cen na rynku i że tamtejsze gospodarstwa rolne co do tego zupełnie przypominają np. produkcyę tkanin u nas, która przechodzi podobne wahania pod działaniem konjunktur rynkowych.

Rok	rozmiary zużytej gleby pod pszenicę (akry):	cena przeciętna buszla pszen. (cent.)
1880	37,980,000	95,1
1881	37,000,000	119,2
1882	37,967,000	88,2
1883	36,455,000	91·1
[illegible]	39,476,000	64,5
[illegible]	34,189,000	77,1
[illegible]	36,806,000	68,7
[illegible]	37,640,000	68,1
[illegible]	37 336,000	92,6
[illegible]	38,123,000	69,8
1890	36,687,000	83,8
1891	39,916,000	83,9
1892	38,554,000	62,4

Widzimy, jak wskutek zwyżki lub zniżki cen w pewnym roku, rozmiary gruntów pod pszenicą w roku następnym ulegają rozszerzeniu lub zwężeniu. Jeszcze lepiej uwydatni nam sytuacyę, istniejącą na rynku zbożowym, tablica, dotycząca Indyj Przedgangesowych. Zestawiamy w niej rozmiary wywozu z rozmiarami zbiorów.

Wywóz i zbiory pszenicy w Indyach Przedgangesowych.

lata	wywóz (w centnarach):	zbiory w buszlach:
1883/4	20,956,000	251,690,000
1884/5	15,830,000	299,155,000
1885/6	21,060,000	258,317,000
1886/7	22,263,000	238,585,000
1887/8	13,538,000	266,882,000
1888/9	17,610,000	237,522,000
1889/90	13,805,000	235,345,000

Z powyższego zestawienia możemy się przekonać, że wywóz z Indyj Przedgangosowych bynajmniej nie zależy od wielkości urodzajów tamtejszych. Zdarza się bowiem, że właśnie wtedy, gdy urodzaj jest bardzo dobry, wywóz jest mały i odwrotnie. Świadczy to, że o wielkości eksportu, tak samo jak o rozległości pól uprawnych pod pszenicę w Stanach Zjednoczonych rozstrzygają stosunki rynkowe. Indye Przedgangesowe są jak gdyby magazynem, dostarczającym pszenicy, jak tylko na rynku europejskim ceny podniosą się w stopniu dostatecznie wysokim lub zagraża niedobór zboża. Tak samo rzeczy mają się z Australią i Argentyną, zwłaszcza zboże australskie nie odgrywa na rynku roli współzawodnika faktycznego, ale istnieje jako rywal zapasowy, który zjawia się, kiedy warunki sprzyjają jego obecności. tj. ceny podniosą się powyżej pewnego poziomu.

Fakty te dowodzą, iż rolnicy europejscy nie mogą spodziewać się polepszenia stosunków na rynku, czyli stałego podniesienia cen na pszenicę. Tam za morzem istnieją rzeczywiste lub tylko możliwe zbiorniki, które nie dają wieści o sobie, póki ceny są nizkie, ale natychmiast wykażą swoją obecność, gdy konjunktury na rynku przybiorą dla ziemian postać korzystniejszą. Możliwe jest polepszenie na rok jeden i drugi, lecz nie dłużej. I taki stan rzeczy będzie trwał, póki ziemie dziewicze nie zostaną zajęte przez kolonistów, na co trzeba setek lat, taka moc bowiem ich istnieje.

Musimy więc zaliczyć konkurencyę zamorską do objawów stałych i porzucić wszelkie nadzieje, że ustanie ona w rychłym czasie.

Co do punktu drugiego, mianowicie, że rozmiary produkcyi pszenicy wzrastają bardzo powoli i że ilość tego produktu na rynku tylko wyjątkowo wzbiera silniej, fakty są jeszcze charakterystyczniejsze. Przytaczamy tablicę, podającą roczne rozmiary produkcyi tego ziarna w odniesieniu do przeciętnej z okresu 1870—1880 wziętej za jednostkę:

[illegible]

[illegible]	[illegible]
[illegible]	[illegible]
[illegible]	[illegible]
[illegible]	[illegible]
[illegible]	[illegible]
[illegible]	[illegible]
[illegible]	[illegible]
1888	[illegible]
1889	[illegible]

Wahania nie wykraczają poniekąd po za granice, wywoływane przez zmienną wielkość urodzajów. W prawdzie spostrzegamy tam dążenie do wzrostu, bo cyfra nigdy nie spada poniżej przeciętnej z dziesięciolecia 1870—1880, ale ta zwyżka jest tak nieznacza i w żadnym razie nie da się mierzyć z prawdopodobnym przyrostem ludności w tym okresie czasu, który podniósł się niewątpliwie o daleko większą cyfrę. Niepodobna więc mówić o nadmiarze pszenicy na rynku, o jej nadprodukcyi i z tego źródła wyprowadzać nizkie ceny na to zboże. A jednak ci, którzy tak twierdzą i wyciągają ze swoich twierdzeń podobne wnioski, mają po swojej stronie najzupełniejszą słuszność. Ceny pszenicy spadają, bo na rynku istnieje faktyczne nadmiar zboża! W tym razie mamy do czynienia z pewnym, bardzo ciekawym objawem. Wiadomo, jaki przewrot wywołała umiejętność posrebrzania przedmiotów: naczynia platerowane tak samo zaspakajają nasz smak artystyczny jak rzeczywiste srebro, kosztują zaś bez porównania taniej, wyrugowały więc one z użycia sprzęty, robione z czystego kruszcu. Coś podobnego odbywa się właśnie na rynku zbożowym. Pomiędzy żytem, pszenicą a kukurydzą toczy się tam walka, w której pierwsze ulega, druga trzyma się mniej więcej tego samego poziomu, kukurydza zaś rozpowszechnia się coraz bardziej. Zatrzymajmy się chociażby nad przewyżką dowozu nad wywozem dla kilku krajów Europy w r. 1892:

Przewyżka dowozu nad przywozem (w buszlach)

	pszenica:	kukurydza:
Niemcy	18,767,000	9,413,000
Niderlandy	8,591,000	6,600,000
Szwajcarya	10,867,000	1,145,000
Anglia	105,527,000	60,829,000
ogółem	143,752,000	76,987,000

tj. dowóz pszenicy do powyżej przytoczonych krajów wynosi w r. 1892 zaledwie dwa razy tyle, co kukurydzy. A tymczasem przed paru dziesiątkami lat, nawet przed kilkunastu, w Anglii, Niemczech itd. prawie nie słyszano o tem ostatniem zbożu, które zjawiając się tam dzisiaj. wyrugowywa pszenicę z rynku i wywołuje jej nadmiar, tak samo jak sprzęty platerowane postąpiły względem naczyń srebrnych. I rozmiary produkcyi kukurydzy szybko wzrastają, z tempem jej w żaden sposób nie może równać się pszenica. Świadczy o tem poniżej przytoczona tablica, ułożona na tej samej zasadzie jak dotycząca pszenicy, mianowicie przeciętną roczną z okresu 1870—1880 przyjęliśmy za jednostkę i do niej odnieśliśmy cyfry lat następnych.

Produkcya roczna kukurydzy:

przeciętna z r.	
1870—1880	1,00
1881	1,30
1883	1,25
1884	1,41
1885	1,51
1886	1,13
1887	1,19
1888	1,55
1889	1,85

Nadprodukcya kukurydzy, oto istotne źródło spadku cen pszenicy i całego przesilenia rolniczego doby dzisiejszej!

Oba objawy, rozebrane przez nas w niniejszym artykule, świadczą o złożoności sytuacyi dzisiejszej i wskazują, jak łatwo można dojść do wniosków niewłaściwych. Konkurencya nadmierna stanowi zjawisko stałe, nizkie ceny na zboże mogą podnieść się tylko na okres krótki. Byt ziemianina będzie coraz bardziej zależał od miejscowych konjunktur rynkowych. Dziad i pradziad produkowali pszenicę, ufni, że na rynku nie zbraknie nabywców i że kupiec sam zapuka do drzwi dworku. Troszczyli się oni tylko o to, ażeby ziarna na sprzedaż było jak najwięcej. Powódź płodów rolnych zamorskich zburzyła dawną prostotę stosunków. W dobie obecnej może się systematycznie zdarzać, że będzie pod dostatkiem zboża na folwarku, ale nabywcy nie będzie! Rolnik, który ongi kłopotał się tylko o dobrą uprawę gruntów i nie dbał o wszystko, co działo się po za miedzą jego majątku, w chwili bieżącej winien przysłuchiwać się odgłosom, nadbiegającym z dalekich a nieznanych rynków. Punkt ciężkości jego dobrobytu ekonomicznego przeniósł się z rąk jego w sferę obcych mu, a trudnych do regulowania stosunków. Ziemianin nigdy nie jest pewien, co przyniesie mu nadchodzący sezon rynkowy. Ceny kształtują się obecnie, tam na rynku międzynarodowym, pod wpływem tylu czynników, że z góry trudno obrachować, jak wypadną konjunktury, tj. na jakie płody będzie istniało większe, na jakie zaś mniejsze zapotrzebowanie. Rynek zaczyna igrać z rolnikami, jak igra z przemysłowcami, ci zaś, nieprzyzwyczajeni jeszcze do huraganów ekonomicznych, zachowują się względem podmuchów rynkowych biernie i gdy klęska przybiera charakter ostry, łudzą się nadzieją, że to złe przeminie, jak przeszło tyle innych. Jeszcze do dnia dzisiejszego nie zrozumieli, że ceny nizkie, nadmiar zboża i inne tego rodzaju objawy nie są zdarzeniami przejściowemi, ale stałemi, zwiastującemi nastanie zupełnie nowej epoki w dziejach stosunku człowieka do rolnictwa.

K. R. Ż.

O PRAWDĘ.

O prawdę — gorzką

Kwestya żydowska jest potwornie dziwaczną. Znają ją dzieci, znają starcy, lecz nikt nie zna dokładnie. Za mało, prawie nic nie dochodzi do szerszego ogółu z tego, co się dzieje w „zakątkach żydowskich," otoczonych murem odrębności języka dubeltowego: żargonu i hebrajszczyzny, stroju odmiennego, świąt, zabaw i — sposobu myślenia.

Przychodzisz do człowieka starszego, poważnego, literata, jednego z najpoważniejszych, który z gruntowną i niepospolitą znajomością rzeczy pisuje o najrozmaitszych kwestyach społecznych, wszczynasz z nim rozmowę o „starej" kwestyi żydowskiej i przekonywasz się nie o tem, że mu ona obca zupełnie, nie, na to on za poważny, zbyt dużo myśli i interesuje się dolą i niedolą ludzi *wszystkich*, zatem i Żydów; lecz o tem, że mu brak źródeł i informacyj o tym przedmiocie, że nie jest *au courant* tej sprawy. I to jest zresztą rzeczą zupełnie naturalną. O literaturze bowiem i życiu społecznem Anglii, Hiszpanii, Szwecyi, Persyi i... Syamu znajdzie rozprawy i kroniki w dziennikach, tygodnikach i miesięcznikach polskich i nie polskich, o życiu zaś i literaturze Żydów, tych, z którymi się mieszka w jednem mieście, na jednej ulicy i w jednym domu, wszędzie cicho i ciebo.

Mój literat jest po za tem zbyt sumiennym człowiekiem i pisarzem, aby wierzył i pochwalił to, co piszą o Żydach tutejsi antisemici, a *Izraelity* nie czyta, bo nie czytał! I cóż tu się dziwić jemu, chrześcianinowi, jeżeli wiele Żydów, ludzi z wyższem, uniwersyteckiem wykształceniem z niejaką przechwałką powtarza to samo.

Ile chrześcian czyta to pismo, lepiej nie dowiadywać się wcale. To też sprawa żydowska najbardziej traci na tem, że strasznie unika światła szerszego, zamykając się w ciasnych szrankach *specyalnego* organu.

„Antisemityzm wzrasta" — wołają Żydzi, a mnie się zdaje, że usiłuje tylko wracać do stanu, w jakim znajdował się niedawno, bo lat temu kilkadziesiąt—okres dla historyi niezbyt długi, zwłaszcza jeżeli przez ten czas odnośne warunki nie zmieniają się z gruntu.

Wśród Żydów spotykamy ten sam chałat, jarmułkę, nawet i pejsy (o ile się policyi nie obawiają), ten sam szwargot niezrozumiały, te same pojęcia i obyczaje. Jasiek z Josklem, a Wojciech z Welwlem przestali się dawno całować, bo... Szlachta siedzi w mieście, garnie się do handlu, rzemiosł i nauk wyzwolonych i tutaj styka się nieustannie z Żydami, równymi lub wyższymi w pozycyi społecznej, którzy jednak fizyognomią, a po części i wymową kiepską zdradzają na każdym kroku swe pochodzenie i sferę odmienną. Taki Żyd, bogaty, czy utytułowany, lubi i jest przyzwyczajony do tego, żeby mu się otoczenie bliższe, a odeń niższe, kłaniało i honorowało; tymczasem niejeden chrześcianin widzi w nim tylko brata, syna, wogóle bliskie pokrewieństwo z handełesami i Żydami pejsatymi z ulicy Franciszkańskiej i przedmieścia Powązki.

Kwestyi żydowskiej u nas nie wolno traktować na równi z takąż kwestyą w Niemczech lub Francyi. Tam jest ona więcej teoretyczną: czy religia żydowska zawiera w sobie szkodliwe przepisy, jaka jej etyka w porównaniu z chrześciańską itd. U nas zaś jest to jeszcze lekceważenie ludzi i odraza do „przybyszów," „niewiernych," niezwiązanych z losem kraju... I dlatego wołać „antisemityzm wraca," kiedy się ma jeszcze tłumy żargonowców w chałatach, jest co najmniej — zawcześnie. Szkodliwem zaś i groźnem dla sprawy żydowskiej — cofanie się i skupianie w sobie, rozrost pism hebrajskich i języka żargonowego, tworzenie się grup syonistów, narodowców, judaistów i „miłośników" przeróżnych.

Byłem świadkiem rozmowy ukształconego Żyda z młodym rzemieślnikiem Żydem, który pracuje w fabryce wśród samych chrześcian. Zapytany, czy nie doznaje prześladowań z powodu odmiennego wyznania, odpowiedział charakterystycznie:

— Prześladuje tylko „cham." Rzemieślnik, który umie czytać i pisać, szanuje kolegę...

Rozumie się, że trzeba z nim żyć zgodnie, nie kaleczyć jego języka, nie wyróżniać się strojem i t. d.

Tyle o antisemityzmie w życiu. Co do prasy, to w jednym z ostatnich numerów *Izraelita* woła w artykule wstępnym: „*Z niewielkimi* wyjątkami *cała* nasza prasa itd. zdradza usposobienie żydożercze.“

Czytam także pisma różne i jestem też izraelitą (choć tylko przez małe *i*), lecz dalibóg nie widzę tej żydożerczości powszechnej i pragnę właśnie zaznaczyć odrębne swe stanowisko od „Izraelity“ (przez *i* duże).

Dziwnaż bo to rzecz: na artykuł p. Posła Prawdy o antisemityzmie, niedawno wydrukowany, napadła jednocześnie *Rola* na *swój* sposób i — *Izraelita*. Pierwsza woła gwałtu na zżydziałą prasę, a drugi nazywa tę zżydziałą prasę „antisemityzmem upudrowanym i uczesanym.“ Krytyk wytyka także artykułowi, że w nim pełno „kwiatów filozoficzno-estetycznych,“ a niema „owoców“ (?), zapominając, że sam swoje wodniste artykuły wypełnia bryzgającą... pianą.

Znając dobrze odnośne stosunki, sądzę, że dzięki jedynie wszechwładztwu takich panówposiwodów w „swoim“ organie, o sprawie żydowskiej rzadko kto i kiedy pisze u nas po za *Izraelitą*, a gdy kto głos podniesie, wnet go — prysznic czeka. I nietylko nie-Żydzi, lecz nawet Żydzi inteligentni, o ile zechcą pisać o braciach swych po wierze przedmiotowo, bez cielęcych zachwytów nad ich zaletami i łez krokodylich nad niedolą, to ani wątpię, że spotka ich ze strony „patentowanych Izraelitów“ wymyślanie od antisemitów i handlarzy.

Doświadczył tego na sobie p. Benedykt Hertz, z którego artykułami w *Prawdzie* o antisemityzmie można się było zgodzić lub nie, ale należało mu przyznać, że były pisane szczerze, uczciwie, krwią serdeczną, nie... wodą, i nie wolno było wymyślać mu wprost od handlarzy: „Cała filipika (p. Hertza) przeciw handlowi — pisze *Izraelita* — nasuwa mimowoli (?) na pamięć lekarzy, wiecznie przeklinających medycynę; czyżby p. H. miał również do takich — lekarzy należeć?..“

Arcyciekawemi są wogóle wycieczki organu „specyalnego“ przeciwko współpracownikom innych pism, którzy śmią pisać o kwestyi żydowskiej. Odsądza się ich od czci i wiary, nazywa odrazu arogantami i — co najciekawsza — redagując pismo kilka miesięcy zaledwie, udziela się pretensyonalnie rad i wskazówek doświadczonym od lat dziesiątek redaktorom pism polskich, co drukować mają, a czego nie, co jest dobrą „robotą,“ a co „robótką lichą, pełną szwów i łatanin,“ „hasłem bojowem,“ „ramotą“ itd. W konkluzyi brzmi to: „jakiś“ p. Hertz niech pójdzie do szkoły, bo pisać nie umie, a i wy, redaktorzy polscy, pójdźcie do mnie na naukę, jak się gazetę redaguje.

Po tak „dzielnem“ kazańku p. redaktor od 2—3 miesięcy ma to błogie przekonanie, że p. B. Hertz „umilknie na wieki,“ prasa nie naruszy jego „monopolu,“ a on wciąż będzie wzdychał, że „antisemityzm wzrasta“ w prasie.

Ja zaś nie wątpię, że do protestu niniejszego dołączą się wszyscy ci, co szanują i cenią działalność naszych pism postępowych; ci, co wierzą w humanitarność ich przekonań dalekich od płaskiego antisemityzmu; ci wreszcie, co wolą dużo i więcej czytać w pismach ogólnych artykułów bezstronnych o Żydach i kwestyi żydowskiej, artykułów nie wodnistych i lukrecyą mdłą zaprawnych, lecz szczerych i serdecznych, choćby nawet więcej zawierały prawdy... gorzkiej.

Jerzy Ohr.

W DALI

Z Połańca (stacya poczt. Staszow, gub. Radomska) ks. F. Brażewicz przesyła do pism odezwę, błagającą o miłosierdzie dla jego parafian, dotkniętych klęską gradobicia. „Jak żyję na świecie przeszło pół wieku — pisze on — nie widziałem podobnego nieszczęścia, jakie nas spotkało w tym biednym Połańcu, w powiecie Sandomierskim. O godzinie drugiej po południu, najniespodziewaniej, wyszła czarna chmurka z wielkiemi plamami białemi; błysnęło, zagrzmiało i zaczął deszczyk kropić. Poszedłem do biednej szopy (tj. do połanieckiej świątyni) nauczać dzieci katechizmu: były same dziewczynki, do 250 duszyczek. Wkrótce zaczął padać grad. W kilku miejscach uderzył w ściany deskowe szopy i nim doszedłem do okna, szyby wszystkie zostały potłuczone. Moje dziatki uderzyły w płacz, nie mogłem ich uspokoić, wszystkie jak owce się stuliły i krzyżem zaczęły padać, wołając: „Jezusieńku, Tyś taki dobry, a zabijasz nas, o Jezu, o Matko Boska, ratuj nas!“ Łagodzę, uspokajam, a te wołają: „Może już braciszek mój zabity na polu, ten maleńki, u gęsi..“ itp. Trwała ta chwila, rozdzierająca serce, nie dłużej nad 10 minut. Otwieram drzwi, ale otworzyć ich nie mogę, bo lód usypał wał na około szopy, do pół łokcia wysokości. Cała powierzchnia ziemi zabielała, pokryła się lodem na 2 cale grubości. Dzieci, zalane łzami, chodziły po lodzie. Idę na plebanię. Szyby z północnej strony wszystkie wybite, a z mojego ogródka ani znaku. Kartofle na okwicie, same badyle, przybite do ziemi; wszystkie drzewka ogołocone z liści i mniejszych gałązek. Gdy biedny ludek ochłonął ze strachu, zaczął się rozglądać dokoła. O, Boże! co za jęki powstały w całej mieścinie. Żyją z tych małych zagoników; cały ich skarb — para grządek kartofli, para zagonków żyta, jęczmienia, owsa, trochę kapusty, grochu itp. — a tu wszystko z ziemią zrównane! Stada gęsi pobite, dzieci pokaleczone — słowem, utworzyła się wśród nędzy ustawicznej nędza ostateczna, głód, rozpacz i śmierć. Gdy to piszę, cała setka biednych robotników, którzy byli u buraków we dworze hrabiego Potockiego, wraca do domu o godzinie 6-ej po południu, bo robota skończona... Niema co robić, buraki zniszczone, pola zniszczone, więc i tej deski ratunkowej zabrakło! Nie będę mieli co jeść, na czem spać, co bydłu dać i budowanie kościoła trzeba będzie na długi czas odłożyć. Straszne są pożary, ale to straszniejsze! Wynagrodzenie ogniowe odbierają po pożarach, a po gradzie, cóż się dostanie?! Łzami, które dzisiaj ludzie wylali, możnaby było odwilżyć spragnioną deszczu ziemię.“

Na pomnik Mickiewicza

nadesłane po zamknięciu składek:

	rs.	k.
J. S.	1	—
M. Zabłocki z Korotina, g. Kijow.	1	—
J. Jałbkowski z Rostowa	10	—
Marya Życka z Życkiszek, gub. Kowieńska	1	—
Stanisław Bąkiewicz z Kizeła, gub. Permska	10	—
K. C. z Moskwy	10	—
Antoni Męczarski, nauczyciel ludowy	2	—
Oktawian Lesiecki z Kotelnicza, gub. Wiatska	5	—
Marya Stawska z Pawłogradu	1	—
Rudowscy z Sinielnikowa	5	—
Mieczuś, Licia, Julisia i Stasia z Sinielnikowa	4	—
Z Koriukowki, gub. Czernihowska:		
Stefan Ambrożewicz	8	—
Helena Górska	2	—
Helena Ambrożewiczówna	1	—
Antonina Ambrożewiczówna	1	—
Mamusia Kawłok	—	50
Michalina Rozenfeld	—	20
Filko Murachowski	—	15
Eugenia A.	1	—
Aleksander Skrzyński	—	30
Wanda Przosmycka	—	50
Zofia Rymarkiewicz		
Czesław Rymarkiewicz	—	60
Władysław Rymarkiewicz		
Stefan Ausmacher	—	30
Helena Pankowska	—	45
Razem rs.	66	—

KRONIKA.

Szkoły. Oprócz istniejących ma być podobno otwartych jeszcze kilka szkół handlowych u nas. O ile pocieszającym jest wszelki postęp oświaty, o tyle niepocieszającem być może zwracanie się społeczeństwa w pewnych kierunkach pracy, a pomijanie innych. W kraju tak mało wytwórczym, jak nasz, mnożenie się żywiołów nieprodukcyjnych, nadających jedynie ruch skąpo wyrabianym towarom swojskim i sprowadzającym zalew cudzych, nie jest zdrowym objawem ekonomicznym. Nikt nie zaprzeczy, że głównym celem, do którego w tej dziedzinie każde społeczeństwo dążyć powinno, jest wytworzenie jak największej ilości bogactw i w spożytkowaniu ich zawiązywanie jak najbliższych stosunków między producentem a spożywcą. Otóż ani pierwsza, ani druga połowa celu nie jest u nas osiągana nawet w skromnej mierze. Wobec tego powinniśmy tworzyć nietylko szkoły kształcące pośredników, ale przedewszystkiem kształcące wytwórców. Zakłady takie, jak Kühna, Mittego, Święcimskiego i inne są niezmiernie doniosłym dla nas nabytkiem. Wprzódy należy mieć coś do sprzedaży, a potem dopiero nauczyć się sprzedawania.

— Kurator okręgu naukowego warszawskiego zapadł na oczy; wraca jednak około 13 sierpnia do Warszawy.

— Egzaminy wstępne i dodatkowe w III gimnazyum męzkiem w Warszawie rozpoczną się d. 28 sierpnia; miejsca wolne są tylko w klasie przygotowawczej i piątej.

— Podania o przyjęcie do warsz. progimnazyum żeńskiego przyjmowane będą od d. 27 sierpnia; w klasie pierwszej otworzony będzie oddział równoległy.

— W gimnazyum męzkiem lubelskiem miejsca wolne są we wszystkich klasach; egzaminy rozpoczną się d. 28 sierpnia.

— W progimnazyum męzkiem w Sandomierzu egzaminy wstępne rozpoczną się w d. 19 sierpnia; miejsca wolne są we wszystkich klasach.

— W Instytucie agronomicznym w Nowej Aleksandryi przyjmowanie nowych kandydatów kończy się 13 sierpnia; na kursie pierwszym ma być tylko 60 słuchaczów.

— W V gimnazyum męzkiem w Warszawie miejsca wolne są tylko w klasie wstępnej i pierwszej. Egzaminy zaczną się 30 sierpnia.

— Nauczyciel rysunków, p. Karol Biske, od przyszłego roku szkolnego otwiera nową szkołę malarską.

— Kurator okręgu naukowego pozwolił na utworzenie oddziałów równoległych w następujących zakładach naukowych: w II i V gimn. męzkiem, w II progimnazyum męzkiem i żeńskiem przy klasie I-ej i w III gimn. męzkiem przy kl. V-ej.

— We wszystkich gimnazyach żeńskich ma być wprowadzony wykład hygieny.

— Rada miejska m. Krakowa uchwaliła wystosować petycyę do Koła polskiego w sprawie gimnazyum cieszyńskiego i ufundowała 10 stypendyów po 100 złr. na nadchodzący rok szkolny.

Wiadomości społeczne. Mieszkańcy Krasnegostawu zwrócili się z prośbą do Naczelnika kraju o pozwolenie rozciągnięcia działalności Tow. kred. m. Lublina na Krasnystaw i otwarcia IV-klasowej szkoły realnej.

— We Lwowie na zaproszenie wydziału Towarzystwa literackiego imienia Mickiewicza, zebrało się w auli uniwersytetu kilkadziesiąt osób na poufne narady w sprawie obchodu setnej rocznicy urodzin poety. Prezes Towarzystwa, prof. Pilat, zawiadomił obecnych, że w r. p. wyda Tow. im. Mickiewicza pamiętnik jubileuszowy i bibliografię Mickiewiczowską (2 duże tomy). Po zagajeniu wybrano prezesem komitetu prof. Maleckiego, wiceprezesami: prezydenta dr. Małachowskiego i prof. Pilata. Następnie prof. Pilat przedstawił program obchodu który poszczególne komisye będą mogły uzupełnić:

I. Urządzenie uroczystości jubileuszowej w sali ratuszowej: 1) mowa wstępna, 2) odczyt, 3) wielka kantata, 4) przemowy, wieczorem iluminacya i galowe przedstawienie w teatrze. Co do terminu obchodu porozumie się komitet z krakowskim komitetem. II. Wybicie medalu pamiątkowego. III. Zorganizowanie szeregu odczytów we Lwowie i na prowincyi. IV. Wydanie popularnego życiorysu Mickiewicza. Ma to być mała książka z rycinami, zajmująco napisana. Rozpisany zostanie konkurs. Fundusz na nagrodę (240 złr.) złożyli urzędnicy zakładu im. Ossolińskich. V. Postawienie pomnika Mickiewicza we Lwowie. Zaznaczono wyraźnie, że pomnik ten postawić ma Lwów, bez oglądania się na prowincyę.

— Ministeryum spraw wewnętrznych przedsiębierze środki celem zabezpieczenia od głodu ludności w guberniach, dotkniętych nieurodzajem.

— Nareszcie doczekamy się kąpieli ludowych. Staną one na Placu broni, w pobliżu ulicy Dzikiej. Otwarcie nastąpi w końcu września. Opłata ma wynosić najwyżej 5 kop.

— Według *Mosk. Wiedom.*, wybory do rady miejskiej w Wilnie dały następujące rezultaty, ciekawe dla mieszkańców Królestwa, wobec spodziewanego samorządu miejskiego: powołano do rady 5 Rosyan, 41 Polaków, 5 Żydów i 2 Niemców. Poprzednią radę stanowiło 12 Rosyan, 24 Polaków i 4 Żydów. W Kownie zaś wybrano 2 Rosyan na 40 radców.

— Laboratoryum chemiczno - bakteryologiczne w Lublinie, otwarte w r. 1894 sposobem próby, miało być zamknięte. Zarząd miasta stara się jednak u władz o pozostawienie tej pożytecznej instytucyi na stałe w mieście.

— Towarzystwo wyścigów konnych w Łęcznie otrzymało zatwierdzenie władzy.

Wymowny proces toczy się obecnie w Filipopolu. Oskarżonym jest adjutant księcia Ferdynanda, Bojczew, o zamordowanie swej kochanki, Anny Simon, łącznie z policmajstrem Noweliczem i żandarmem Wasiljewem. Adjutant księcia, policmajster i żandarm jako spółka mordercza — to coś bardzo niezwykłego i możliwego tylko w Bulgaryi. Dla charakterystyki obrazu dodać trzeba, że główny bohater zbrodni zachowuje się w sądzie bezczelnie, a jego żona wybucha głośnym śmiechem, zwłaszcza gdy słyszy, że on spekułował na jej posag. Śliczne towarzystwo!

Zdrowie publiczne. Ma być wydane rozporządzenie o obowiązkowem dezynfekowaniu używanej garderoby, sprzedawanej w sklepach tandeciarskich.

— Komitet kolonij letnich w Łodzi wysłał w r. b. na wieś 420 chorych dzieci, w tem 210 chłopców i tyleż dziewcząt.

Koleje i komunikacye. Zarząd kolei skarbowych opracowywa nowe przepisy dla służby drogowej i mechanicznej, mające na celu zwiększenie bezpieczeństwa pociągów. Nowe przepisy będą zastosowane i na kolejach prywatnych.

— Dokonywane są próby z nowym hamulcem elektrycznym wynalazku inżeniera K.

— O nową koncesyę na telefony w Warszawie, z powodu upływu kontraktu z Towarzystwem Bella, stara się pewna firma niemiecka, która obiecuje zniżyć znacznie abonament roczny.

— Zarząd kolei Iwangrodzko-Dąbrowskiej przedstawił departamentowi dróg żelaznych potrzebę zbudowania drugiego toru.

— Z Petersburga przybyła komisya, wydelegowana do sprawdzenia inwentarza kolei Nadwiślańskiej. Czynności komisyi odbiorczej zostały ukończone.

— Rozpoczęto budowę kolei Chabówka - Zakopane.

Przemysł i handel. W Stanach Zjednoczonych wprowadzono bil taryfowy, który już zyskał moc obowiązującą.

Wypadki. W Rozdzieniu, nieopodal Katowic, runął komin fabryczny, wysokości 150 stóp, zabijając i raniąc 11 ludzi.

— Na drodze Riazańsko-Kazańskiej, pomiędzy stacyami Melewo a Sasowo wykoleił się d. 16 b. m. częściowo pociąg pasażerski. Dwa wagony zdruzgotane, trzy silnie uszkodzone; palacz, konduktor, dwaj pasażerowie niewiadomego nazwiska i Antoni Roman zabici.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 18 Іюля 1897 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.